MAGAZYN

Form-Plast upadł. Załoga czeka na wypłaty i odprawy. Szuka u nas pomocy. Str. 16

Nowe życie w starych koszarach. Jest moc w mieszkańcach tego miejsca. Str. 18-19

Telemagazyn z programem tv i zapowiedzią najciekawszych filmów, seriali i programów

Nr ISSN 1230-9192
Nr indeksu 350680
34
9 771230 919059

www.expressbydgoski.pl

Nr 193 (11381) | Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Express BYDGOSKI

37 lat

Piątek, 21.08.2026

Polska od lat buduje zintegrowaną obronę powietrzną kraju
Wszystkie możliwe do użycia systemy polskiej obrony powietrznej są rozmieszczone ściśle według wskazań wojska - powiedział w czwartek szef MON - **Str. 10**

Jak zmieniają się kamienice na bydgoskim Szwederowie?
Po remoncie elewacje nieruchomości zyskały pastelowe kolory i dodatkowe gzymsy **Str. 4**

Relaks

Krzyżówki do kawy. Nowości w programie TV

Handel

Butelkomaty przyjmą nowe opakowania z kaucją

Ministra klimatu poinformowała, że przygotowywane są regulacje, aby kaucję pobierać również za butelki po tak zwanych małpkach. **– Str. 9**

W Centrum Onkologii będzie nowy system kolejkowy
Zdaniem lecznicy rozwiązanie to pozwoli lepiej zorganizować ruch pacjentów i usprawni również pracę poradni **– Str. 4**

FOT. CENTRUM ONKOLOGII

Bezpieczeństwo

Rowerzysta potrącony na Starym Rynku

Wczoraj na Starym Rynku odbyła się policyjna akcja profilaktyczna. Przygotowano wiele praktycznych aktywności związanych z bezpieczeństwem w ruchu drogowym. **Str. 6**

FOT. DARIUSZ BLOCH

REKLAMA 0011548513

eprasa.pl 7d64821c2a

POLECAMY

PONIEDZIAŁEK: Sport z regionu i świata WTOREK: Strefa Biznesu ŚRODA: Strona zdrowia

21.08.2026
Piątek

Dziś imieniny: Franciszka, Joanny i Wiktorii
Telefon alarmowy: 112

EXPRESS BYDGOSKI

Redaktor naczelna
Alicja Polewska
Z-cy redaktor naczelnej
Justyna Wojciechowska-Narloch
Lucyna Talaśka-Klich
Jakub Stykowski
Wydawca dnia
Robert Borzyszkowski

www.express.bydgoski.pl

Polska Press
Makroregion Wielkopolska Kujawsko-Pomorskie
Redakcja ul. Zamoyskiego 2, 85-063 Bydgoszcz, tel. 52 32 63 100
redakcja@express.bydgoski.pl
Prezes Makroregionu
Marek Ciesielski
Dyrektor reklamy
Agnieszka Perlińska
Dyrektor marketingu
Katarzyna Jabłońska
Druk
Polska Press Oddział Poligrafia, 85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.express.bydgoski.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Komentarz

Krzysztof Cugowski:
Powinny być szkolenia wojskowe

Wokalista i publicysta

Od czterech i pół roku trwa wojna, a każda ekipa rządząca jak ognia boi się w ogóle rozmawiać na ten temat. Niestety, co jakiś czas zdarzają się takie sytuacje jak ostatni alarm w Lublinie. I nagle robi się sensacja! Nagle wszyscy wołają „Oj!" i przez kilka dni próbują rozbierać zdarzenie na czynniki pierwsze, oglądać, analizować i tyle.

Nie jestem pewny, czy my jesteśmy przygotowywani na atak. Nie mówię tutaj tylko o mentalności obywateli, bo myślę, że ludzie w ogóle nie są przygotowani na taką sytuację. Nawet gdy zdarzają się takie zdarzenia jak ostatnio, to ludzie szybko starają się wyrzucić to z pamięci. Większość chce po prostu żyć w błogiej nieświadomości. Tymczasem powinniśmy mieć wyobrażenie, co może się stać.

Nie jesteśmy krajem, który w takiej hipotetycznej sytuacji byłby w stanie sam się obronić. To są wieloletnie zaniedbania. Likwidacja zasadniczej służby wojskowej to rzecz absolutnie fatalna. Zrobiliśmy to praktycznie z dnia na dzień. Tymczasem w innych państwach, jak Niemcy, ten proces trwał latami. Obecnie całe pokolenie młodych ludzi w Polsce nie ma żadnego pojęcia w tym temacie. Jeżeli chodzi o rezerwę, bo co jakiś czas są oni wzywani na ćwiczenia, to są to coraz starsi ludzie.

Powinny być szkolenia wojskowe. Nie mówię, że to ma być dwuletnia zasadnicza służba wojskowa jak w PRL, bo to był absurd kompletny. Jednak w jakieś formie powinno być to zrobione. Nie wiem na co czekają politycy. Oni wszyscy żyją w permanentnej kampanii wyborczej i boją się poważnych tematów. Tylko, że nie ma już miejsca na żarty i śmiech. Miejmy nadzieję, że nie dojdzie do tragedii. ©℗

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Express Bydgoski"

tel. 52 511 94 64
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.expressbydgoski.pl

KRONIKA BYDGOSKA

Blisko końca wakacji w mieście - obok smutku wjeżdża irytacja

Ewa Czarnowska - Woźniak

Coraz więcej dowodów na to, że miejscy planiści w Bydgoszczy zawsze wiedzą lepiej. Serio?

Smutny bardzo to był tydzień. Pożegnaliśmy wyjątkowe osoby. Bohaterkę i Autorytet, Wandę Traczyk – Stawską. Niemal w tej samej dobie odeszła inna, związana przez urodzenie z Bydgoszczą, uczestniczka Powstania Warszawskiego – Krystyna Kodymowska. Pożegnaliśmy Wielkiego Artystę, Jana Frycza. Wielu Bydgoszczan pogrążyła w tych dniach w żałobie informacja o tragicznej i przedwczesnej śmierci Karoliny Kozłowicz. Wielu mieszkańcom znana była bardziej i osobiście jako miłośniczka i znawczyni psychiki zwierząt niż jako bratanica wiceprezydenta miasta, którego wzruszające pożegnanie sprawiło, że tę bardzo smutną i przykrą wiadomość poznało więcej osób. Drugą pasją Pani Karoliny były góry, które zabrały Ją na zawsze... Smutny był to tydzień, bo Bydgoszcz dołączyła właśnie do grona miast zhańbionych atakiem słownym i fizycznym na ukraińskie dzieci. Tak trudno ciągle uwierzyć, że są wśród nas ludzie, którzy atakują młodszych dlatego, że mówią w innym języku.

Tydzień pełen był dla Bydgoszczan nie tylko refleksji, ale też zwykłej, codziennej irytacji. W obliczu końca wakacji schodzimy wreszcie na ziemię, a ściślej biorąc – zjeżdżamy na bydgoskie ulice, które dostarczają nam niepotrzebnych emocji.

FOT. ARCHIWUM/T.CZACHOROWSKI

Na Sułkowskiego - Kamiennej już po remoncie. I nie jest lepiej

Ja też, jak wielu, z nadzieją wyglądałam końca upiornego remontu ulicy Sułkowskiego z przyległościami. Kiedy pierwszy raz próbowałam na całej długości sforsować „przejezdną" ulicę Kamienną, pomyślałam, że mam po prostu pecha wjeżdżając w gigantyczny korek w godzinach szczytu. Drogę z końca Fordonu do Sułkowskiego pokonałam w 20 minut, drugie tyle zajął mi – na kilka zmian świateł – przejazd z tego miejsca do Gdańskiej... Następnym razem, lawirując między autami na środku (!) skrzyżowania Kamiennej z Sułkowskiego, byłam już pewna, że coś jest nie tak. Zdesperowani kierowcy po prostu na siłę wymuszali przejazd przez to miejsce. Lektura forów internetowych potwierdziła moje obserwacje. Kolejnym razem pomyślę o jakimś objeździe Leśnego, choć przecież nie o to chodziło w zachwyconych sobą komunikatach miejskich urzędników o efektach tej długotrwałej i kosztownej inwestycji. Rowerzystom się pewnie ta ich magistrala południe – północ podoba, postawiono im nawet na tym gorącym miejscu licznik przejazdów, wkrótce więc (na papierze) dowiemy się o sukcesie. Tylko czyim?

Pewien rodzaj buty w komunikacji przedstawicieli miasta z mieszkańcami zaczyna być niepokojący. Oto prezydent Bydgoszczy, swój fejsbukowy komentarz do podsumowania społecznych konsultacji Planu ogólnego Miasta Bydgoszczy (planów jego zagospodarowania przestrzennego) zaczyna tak: „Tyle było straszenia... (...) A co mamy?". To straszenie zdaje się mieć konkretnych adresatów (adresatkę?), oprócz tego jednak dość z góry traktuje tych ponad 20 tysięcy ludzi, którzy się w to konsultowanie zaangażowali. Prezydent pisze, że „Bydgoszcz się rozwija. Ale rozwija się odpowiedzialnie"... Można – jeśli się w to wątpi - trochę poczuć się jak zakuta głowa, której trzeba wytłumaczyć, że nie wie, że jeszcze będzie szczęśliwa. Jak ci, którzy uważają, że zabudowa tzw. górek fordońskich domkami jednorodzinnymi, a nie blokami, to ciągle jest zabudowa.

Na bliskich mi, zakorkowanych ulicach Andersa i Akademickiej miejscy planiści wkrótce zamierzają postawić kolejne 4 sygnalizatory świetlne. Obok istniejących - także na przejazdach tramwajowych. Podobno ma być nam wszystkim bezpieczniej. Jakoś im nie wierzę, jadąc na Sułkowskiego przez Myślęcinek. ©℗

POGODA

Piątek
27°C/14°C

Sobota
19°C/15°C

W SOBOTĘ Z „EXPRESSEM"

Weronika Książkiewicz ma apetyt na życie. Mogła zostać baletnicą, nie wytrzymała jednak katorżniczej pracy, Zwróciła się w kierunku aktorstwa.

FOT. SYLWIA DĄBROWA

- **Najpiękniejsze zamki Podkarpacia. Które warto bliżej poznać i zwiedzić.**
- **Pierwsze polskie kinowe erotyki.**
- **Dziewczyna, która rodzi się raz na kilka dekad.**

eprasa.pl 7d64821c2a

BEZPIECZEŃSTWO

W schronie będzie mogło pracować kilkudziesięciu urzędników. Władze regionu szykują się na kryzys

Adam Willma

Urząd Marszałkowski przygotowuje się na zagrożenia. Do gmachu trafiły już agregaty i sprzęt ratowniczy dla grup ewakuacyjnych. W planach jest modernizacja schronu pod gmachem urzędu.

Doświadczenia wojny w Ukrainie sprawiły, że jednym z najważniejszych elementów przygotowań stało się zapewnienie zasilania awaryjnego.

W ubiegłym roku zakupione zostały agregaty prądotwórcze. Największy z nich ma zapewnić zasilanie całego gmachu Urzędu Marszałkowskiego.

- W pierwszej kolejności dążyliśmy do tego, żeby zabezpieczyć funkcjonowanie instytucji samorządowych - mówi Aureliusz Chyleński, dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa i Budowania Odporności Społecznej Urzędu Marszałkowskiego. - Musieliśmy zabezpieczyć funkcjonowanie marszałka, zarządu i urzędu w razie takiej sytuacji typu blackout.

Urząd posiada dziś także agregat, który w razie potrzeby może zostać użyczony innej jednostce. Według dyrektora jego moc wystarcza do zasilenia około 40 domów jednorodzinnych albo całego oddziału szpitalnego czy SOR-u. W magazynach znajdują się również mniejsze agregaty.

FOT. JACEK SMARZ

Pokaźny schron znajduje się również pod Collegium Maximum UMK

Wyznaczeni pracownicy tworzą grupy odpowiedzialne za ewakuację. Dostali m.in. kaski, okulary ochronne, specjalistyczne plecaki ratownicze, torby medyczne i odpowiednią odzież. Część przeszła szkolenia z pierwszej pomocy i kwalifikowanej pierwszej pomocy. Osoby z większymi uprawnieniami otrzymały specjalistyczny sprzęt medyczny. Sama ewakuacja jest ćwiczona, a w poszczególnych departamentach wyznaczono osoby, które mają nią kierować.

Przygotowano również zapasowe miejsce, z którego w razie poważnego zagrożenia będzie mógł działać marszałek i część administracji (lokalizacja nie jest ujawniana). W Toruniu wskazano natomiast miejsca zbiórki, do których mają trafić ewakuowani pracownicy przed przeniesieniem do miejsca zapasowego.

Pod urzędem jest schron

Do łask powraca schron znajdujący się pod jednym ze skrzydeł głównego budynku urzędu, który powstał wraz z gmachem oddanym do użytku w 1932 roku. Ekspertyza wykazała, że obiekt nadal można wykorzystać jako miejsce schronienia, ale wymaga modernizacji. W tym roku ma powstać projekt przebudowy.

- W schronie 62 osoby mogą normalnie pracować, natomiast 200 osób może tam znaleźć krótkotrwałe schronienie - precyzuje dyrektor Chyleński. Schron ma klasę S1, zachowały się w nim urządzenia filtrowentylacyjne, które uruchamiać można zarówno elektrycznie, jak i ręcznie. Modernizacja ma obejmować m.in. uszczelnienie obiektu, doprowadzenie instalacji do odpowiedniego stanu i wymianę filtrów. - Plan funkcjonalno-użytkowy jest już wykonany. W tym roku będzie projekt tego schronu i realizacja - zapowiada dyrektor.

Szpitale też pod ziemię

Marszałkowskie plany dotyczą również szpitali. W nowych lub przebudowywanych obiektach przewidywane są podziemne części, które w normalnych warunkach mogą pełnić inną funkcję, a podczas zagrożenia służyć jako miejsca ukrycia. Poziom minus jeden może na co dzień działać jako parking i jednocześnie zostać przygotowany jako tymczasowe miejsce schronienia. Na poziomie minus dwa mają znaleźć się pomieszczenia pozwalające na prowadzenie zabiegów i operacji także podczas poważnego zagrożenia.

Wzorem są m.in. rozwiązania stosowane w Finlandii. Urzędnicy z regionu oglądali tam obiekty pełniące na co dzień funkcje sportowe lub użytkowe, które w razie potrzeby mogą szybko zostać zamienione w schrony.

Drugim dużym przedsięwzięciem jest budowa specjalnego systemu łączności. W województwie ma działać kodowany system TETRA wykorzystywany przez służby. Do montażu urządzeń telekomunikacyjnych mają być wykorzystane istniejące maszty, a w przyszłości również wieże obserwacyjne Lasów Państwowych. W regionie jest ich 48, a kolejne cztery znajdują się przy jego granicach, część ma już doprowadzone światłowody. System ma umożliwiać kontakt między służbami i administracją również wtedy, gdy zwykła infrastruktura telekomunikacyjna zostanie przeciążona albo przestanie działać.

A co z mieszkańcami?

Urząd Marszałkowski odpowiada przede wszystkim za własne funkcjonowanie i podległe mu jednostki, m.in. wojewódzkie szpitale. Za lokalne zarządzanie kryzysowe i organizowanie miejsc schronienia dla mieszkańców odpowiadają przede wszystkim administracja rządowa (Urząd Wojewódzki) oraz samorządy miast i powiatów.

Dyrektor Chyleński przyznaje, że obecnie miejsc schronienia nie wystarczyłoby dla wszystkich mieszkańców. Jednym z rozwiązań mogą być w przyszłości odpowiednio projektowane podziemne parkingi, ze wzmocnionymi stropami i ścianami.

Najbliższe miesiące w UM mają upłynąć pod znakiem dalszych zakupów, rozbudowy systemu łączności i przygotowania przebudowy schronu. Raz w roku prowadzone będą ćwiczenia z obrony cywilnej dla kadry kierowniczej urzędu i jednostek podległych marszałkowi. ©℗

CIEKAWOSTKI

Niski poziom Wisły w Bydgoszczy odsłonił zatopione auto. Fiat 126p znów widoczny

Jarosław Więcławski

Niski poziom wody w Wiśle w Bydgoszczy latem i jesienią powoli staje się normą. Podobnie jak w ostatnich latach, w tym czasie znów można zauważyć zatopiony w wodzie Fiat 126p. Kilka dni temu z wody wystawało koło. Auto od dekad spoczywa na dnie rzeki, choć nie jest pewne, jak się tam znalazło.

Historia malucha w Wiśle, położonego na wysokości fordońskiego Zbożowca, pozostaje nierozwiązaną zagadką. Dawniej odsłaniał się raz na kilka lat. W ostatnim czasie wzrasta liczba dni z niskim poziomem rzeki, więc można obserwować go częściej, właściwie każdego roku.

Losy zatopionego pojazdu od lat śledzi Robert Szatkowski, prezes stowarzyszenia Bydgoski Wyszogród. Na profilu w mediach społecznościowych, gdy tylko auto się odsłoni, zamieszcza zdjęcia, a nawet podwodne filmiki. Brał również udział w oględzinach pojazdu i próbach jego lepszego zbadania. Ostatni raz taką akcję zorganizowano przed niespełna rokiem. Jesienią 2025 r. wraz z m.in. przedstawicielami Fundacji Zielone Jutro podjęto próbę obrócenia auta. Celem było odkrycie tabliczki znamionowej, co pozwoliłoby określić m.in. rok produkcji.

Wcześniej ustalono, że pojazd leży na dachu. Jest mocno zakleszczony, porośnięty i właściwie wtopił się w ekosystem. Mimo iż w akcji uczestniczyło ok. 10 osób, nie zakończyła się ona powodzeniem.

- Ten Fiat jest mocno zaklinowany. Być może w środku jest dużo piasku albo jakichś kamieni, bo w licznym składzie nie udało nam się go choćby lekko przesunąć. Jest taki pomysł, że przy wyższym poziomie Wisły, poprosimy piaskarzy, którzy wydobywają piach. Oni mają dźwigi na pokładzie barek, ale obecnie to nie są tam w stanie podpłynąć - mówi Robert Szatkowski.

Jak zapowiada, niebawem znów może wybrać się na oględziny w wodzie, co być może pozwoli rozwikłać kolejne tajemnice wokół auta. - Choć maluch tyle lat jest w wodzie, to konstrukcja jest w zaskakująco dobrym stanie. Niektórzy uważają, że gdyby ktoś go wyciągnął, to rdza zniszczyłaby go w ciągu paru miesięcy. Nie staramy się go wydobywać, bo to obiekt tak blisko ściany, że właściwie nikomu nie przeszkadza. Jest raczej ciekawostką, lubią go oglądać nurkowie - dodaje.

FOT. ARKADIUSZ WOJTASIEWICZ

Woda nieco przykryła koło, ale auto dalej było dobrze widoczne

- Według wspomnień mieszkańców prawdopodobnie maluch wypadł z transportu z barki rzecznej. Akurat na wysokości Brdyujścia jest dosyć mocny zakręt, fale biją, jest tu silniejszy wiatr, więc transport mógł się przechylić - opowiadał nam prezes stowarzyszenia Bydgoski Wyszogród.

- To były lata 70 albo 80 - są różne relacje. Zatopionych samochodów było więcej. Ludzie się na nie „rzucili". Maluchy zostały błyskawicznie sprzedane w fordońskim Polmozbycie. Wykupiono nawet te zatopione. Ten jeden najpewniej nie został zauważony, a fala popchnęła go z czasem w stronę Zbożowca - dodaje.

Według innej wersji, auto mogło trafić do Wisły później, w latach 90. Gdy wówczas kradziono pojazdy, na zakup miało nie być chętnych, więc z Fiatów wyjmowano silniki, a reszty pozbywano się w rzece. ©℗

eprasa.pl 7d64821c2a

Bydgoszcz

OCHRONA ZDROWIA

W Centrum Onkologii będzie nowy system kolejkowy

Małgorzata Pieczyńska

Od poniedziałku (24 sierpnia) w Poliklinice Centrum Onkologii w Bydgoszczy zacznie obowiązywać nowy system kolejkowy. Ma on usprawnić obsługę pacjentów, poprawić organizację wizyt oraz zwiększyć komfort oczekiwania.

Jak informuje lecznica, to rozwiązanie pozwoli lepiej zorganizować ruch pacjentów. Sprawi, że oczekiwanie na wizytę w gabinecie specjalisty będzie bardziej przejrzyste, a do tego usprawni pracę w poradniach.

Jak to będzie działało? Po wejściu do Polikliniki, pacjent powinien skierować się do biletomatu, wybrać na urządzeniu cel wizyty i wydrukować bilet z numerem kolejkowym. Z wydrukowanym biletem należy przejść pod konkretny gabinet wskazany na bilecie i obserwować ekrany informacyjne. Gdy numer widniejący na bilecie zostanie wyświetlony na wyświetlaczu w polu „Wzywany pacjent", należy wejść do gabinetu.

System kolejkowy z myślą o komforcie pacjentów

Nowy system zostanie wdrożony przede wszystkim z myślą o komforcie pacjentów. Dzięki niemu nie trzeba już będzie pytać innych oczekujących: „Kto jest ostatni?", nie będzie też potrzeby pilnowania swojej kolejki przed gabinetem, ograniczone zostaną również nieporozumienia dotyczące kolejności wejścia.

FOT. CENTRUM ONKOLOGII

Nowy biletomat

- Wraz z wdrożeniem systemu kolejkowego pacjenci Polikliniki będą mogli spokojnie usiąść w poczekalni przed gabinetem i śledzić informacje na ekranach - informuje Centrum Onkologii. - Wywoływanie odbywać się będzie za pomocą numerów biletów i numerów pacjenta, co zwiększa prywatność. Poza tym personel na bieżąco będzie widział w systemie, którzy pacjenci są już obecni i gotowi do przyjęcia.

Jak podkreśla Centrum Onkologii, system tworzy dynamiczną kolejkę. Kolejność przyjęć jest zgodna z harmonogramem i organizacją pracy poradni oraz godzinami umówionych wizyt, a pacjent widzi, ile osób oczekuje przed nim.

Przy biletomatach będzie można uzyskać pomoc

- System kolejkowy nie jest nowością w Centrum Onkologii w Bydgoszczy - mówi Małgorzata Rogatty, rzeczniczka Centrum Onkologii w Bydgoszczy. - Z powodzeniem funkcjonuje już w Ambulatorium Chemioterapii, Pracowni Tomografii Komputerowej w Budynku E oraz w wybranych gabinetach USG. Dotychczasowe doświadczenia pokazują, że jego wdrożenie przyniosło wymierne korzyści zarówno pacjentom, jak i personelowi.

Nowy system zacznie obowiązywać od poniedziałku (24 sierpnia). Pierwsze tygodnie jego działania będą okresem wdrożenia.

- Prosimy o korzystanie z biletomatów oraz stosowanie się do informacji wyświetlanych na wyświetlaczach - mówi Małgorzata Rogatty. - Zdajemy sobie sprawę, że na początku dla niektórych osób, zwłaszcza starszych może być to trudność. Dlatego w razie pytań lub wątpliwości pomocą służyć będzie specjalnie wyznaczony personel z identyfikatorem „Chętnie pomogę".

Warto dodać, że dziennie w Poliklinice Centrum Onkologii w Bydgoszczy przyjmowanych jest ponad 1000 pacjentów.

Więcej szczegółów na temat nowego systemu kolejkowego można znaleźć na stronie internetowej www.co.bydgoszcz.pl

©℗

INWESTYCJE

Pastelowe elewacje, nowe gzymsy. Tak zmieniają się kamienice na Szwederowie

Opr. Marcin Kozłowski

Międzywojenne kamienice przy ul. Wiatrakowej 5 i 7 dołączyły do wcześniej wyremontowanych obiektów w tej części bydgoskiego Szwederowa.

Oba budynki wzniesiono w latach 30. XX w. i od początku pełniły funkcję mieszkalną. Zastosowano w nich rozwiązania typowe dla modernizmu - m.in. prostą bryłę, pomieszczenia doświetlane przez szerokie otwory okienne oraz ograniczoną liczbę zdobień. Po remoncie elewacji nieruchomości utrzymane są w pastelowych barwach i zyskały dodatkowe gzymsy rozdzielające kondygnację. Budynek z numerem 7 w górnej części otrzymał też tondo z rokiem budowy - 1935.

Wcześniej przy ul. Wiatrakowej przeprowadzono wiele prac konserwatorskich - przede wszystkim - w starszych obiektach bliżej skrzyżowania z ul. Traugutta i Nowodworską. W przypadku robót w kamienicy numer 10 partycypował Bydgoski Program Renowacji Zabytków. Z kolei z budżetu miasta finansowano m.in. wyznaczenie kontrapasa dla rowerzystów, który zapewnił bezpieczne połączenie Szwederowa ze Starym Miastem. Przy okazji powstał skwer przy skrzyżowaniu z ul. Traugutta.

Ten rejon Szwederowa do połowy XIX w. był odrębnym folwarkiem i nosił nazwę Nowy Dwór (Neuhoff). Do Bydgoszczy tę część osiedla włączono w 1867 r. Wiatrakowa prawdopodobnie była jedną z dolin zbocza bydgoskiego, które zaadaptowano na ciąg komunikacyjny. Swoją nazwę zawdzięcza temu, że prowadziła w kierunku holenderskiego młyna wiatrowego w rejonie obecnej ul. Lenartowicza. Obiekt zaznaczono na planie miasta z 1834 r.©℗

FOT. ARKADIUSZ WOJTASIEWICZ

Kamienice przy ul. Wiatrakowej 5 i 7 zyskały nowe elewacje

AKCJA CHARYTATYWNA 0011545569

eprasa.pl 7d64821c2a

REMONT

Od poniedziałku będą wymieniać nawierzchnię ulicy w Starym Fordonie. Droga będzie zamknięta

Opr. Paweł Kaniak

Zarząd Dróg Miejskich i Komunikacji Publicznej w Bydgoszczy poinformował, że w poniedziałek (24 sierpnia) rozpocznie się wymiana nawierzchni na ulicy Wyzwolenia. Odcinek od ulicy Bydgoskiej do ulicy Pielęgniarskiej zostanie wyłączony z ruchu. Będą zmiany na liniach numer 33N, 40, 65, 81 i 82.

Wyremontowany zostanie odcinek ul. Wyzwolenia od ul. Bydgoskiej do ul. Pielęgniarskiej w Starym Fordonie.

„Ułożona w tym miejscu, podobnie jak wcześniej na ulicy Bydgoskiej, zostanie nawierzchnia bitumiczna, która generuje mniej drgań. Pomiędzy warstwy asfaltowej mieszanki wbudowana zostanie również siatka wzmacniająca. Dzięki niej nowa jezdnia będzie bardziej odporna na uszkodzenia i powstawanie kolein" - poinformował w komunikacie z 20 sierpnia ZDMiKP w Bydgoszczy.

Remontowany odcinek będzie zamknięty dla ruchu. Sugerowany objazd przebiega ulicami Ametystową, Kasztelańską i gen. W. Andersa.

Wprowadzone zostaną też zmiany w funkcjonowaniu komunikacji publicznej. Jak informują bydgoscy drogowcy, linie nr 33N, 40, 65 i 82 w kierunku pętli Niepodległości, Przylesie P+R Nad Wisłą, Łoskoń / Zajezdnia oraz Tatrzańskie od przystanku Fordońska / Wiadukt zostaną skierowane na trasy czasowo zmienione ulicami: Ametystową, Kasztelańską i gen. W. Andersa, a od przystanku Niepodległości powrócą na standardowe trasy przejazdu. Analogicznie w przeciwnym kierunku.

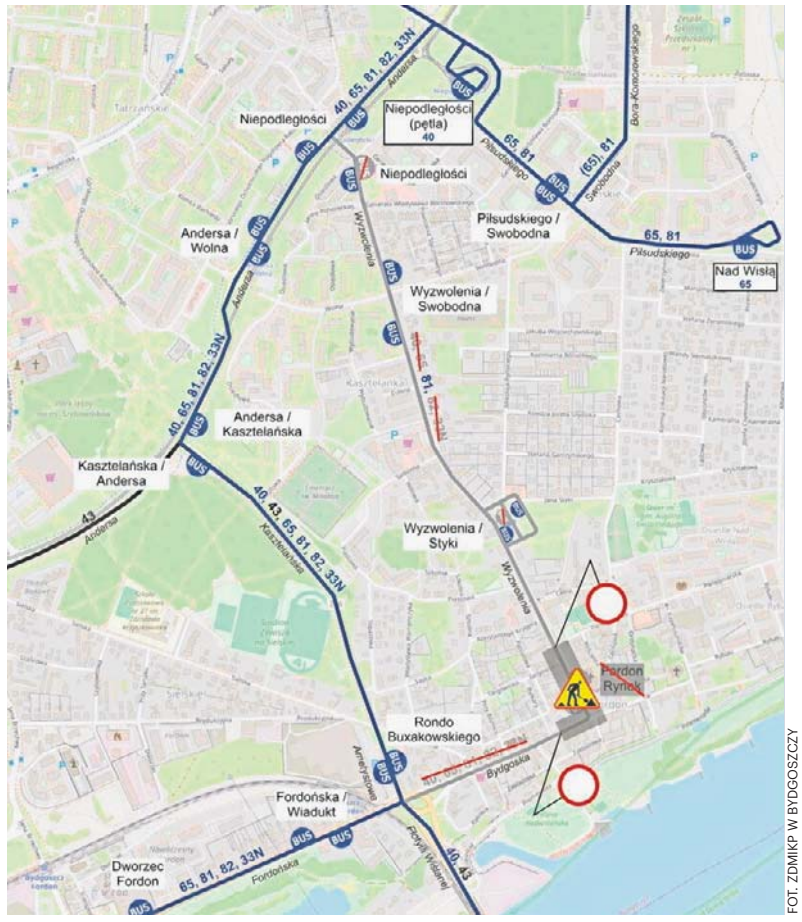

Zmiany w komunikacji na ul. Wyzwolenia od 24 sierpnia

FOT. ZDMIKP W BYDGOSZCZY

Z obsługi pasażerskiej wyłączone zostaną przystanki:
- Fordon Rynek
- Wyzwolenia / Styki
- Wyzwolenia / Swobodna
- Niepodległości (przystanek zlokalizowany przy ul. Wyzwolenia, w kierunku pętli Ostromecko, Dworzec Leśne oraz Zamczysko).

Do obsługi pasażerskiej zostaną włączone przystanki:
- Rondo Buxakowskiego
- Andersa / Kasztelańska (w kierunku pętli Niepodległości, Przylesie P+R, Tatrzańskie, Nad Wisłą oraz Łoskoń / Zajezdnia)
- Kasztelańska / Andersa (w kierunku pętli Ostromecko, Dworzec Leśne, Zamczysko oraz Las Gdański P+R)
- Andersa / Wolna
- Niepodległości (przystanek zlokalizowany przy ul. Andersa, w kierunku pętli Ostromecko, Dworzec Leśne Zamczysko oraz Las Gdański P+R).

Linia nr 81 w kierunku pętli Tatrzańskie, od przystanku Fordońska / Wiadukt zostanie skierowana ulicami : Ametystową, Kasztelańską, gen. W. Andersa z wjazdem kieszeniowym do pętli Wyzwolenia / Styki i dalej powrót na standardową trasę przebiegu. Analogicznie w przeciwnym kierunku. Z obsługi pasażerskiej w obu kierunkach zostanie wyłączony przystanek pn. Fordon Rynek.

Wykonawcą prac została inowrocławska spółka INODROG sp. z o.o., która w ubiegłym roku przeprowadziła remont Alei Jana Pawła II.

Do obsługi pasażerskiej, w kierunku pętli Tatrzańskie zostaną włączone przystanki:
- Rondo Buxakowskiego
- Andersa / Kasztelańska (w kierunku pętli Tatrzańskie)
- Andersa / Wolna
- Niepodległości (przystanek zlokalizowany przy ul. Wyzwolenia)
- Wyzwolenia / Swoboda
- Wyzwolenia / Styki (przystanek przy ul. Wyzwolenia, obecny przystanek w kierunku pętli Tatrzańskie)
- W kierunku pętli Skandynawska / Ikea, Tor Regatowy oraz Przemysłowa zostaną włączone przystanki:
- Wyzwolenia / Styki (przystanek na pętli, obecny przystanek w kierunku pętli Skandynawska / Ikea)
- Wyzwolenia / Swobodna
- Andersa / Wolna
- Niepodległości (przestanek zlokalizowany przy ul. Andersa)
- Kasztelańska / Andersa
- Rondo Buxakowskiego.

Prace mają potrwać około dwóch tygodni. ©℗

UTRUDNIENIA W RUCHU

Ocean Lava Triathlon w niedzielę. Zmiany w ruchu i komunikacji miejskiej

Jarosław Więcławski

W niedzielę (23 sierpnia) odbędzie się impreza Ocean Lava Triathlon Polska 2026 Bydgoszcz Borówno. Będą zmiany w organizacji ruchu i funkcjonowaniu komunikacji miejskiej.

W niedzielę wyłączone z ruchu będą ulice Gdańska na odcinku od stadionu Zawiszy do skrzyżowania z ulicą Armii Krajowej), Jeździecka oraz część ulic w Niemczu, Jagodowie, Maksymilianowie, Nekli i Borównie. Zmiany w komunikacji publicznej będę obowiązywały w niedzielę od godziny ok. 6.30 do 17.30.

W przypadku linii nr 41 kursy do przystanku Dobrcz/Urząd Gminy realizowane będą przez ulicę Modrzewiową, Al. Wyszyńskiego i Armii Krajowej. Od przystanku Osielsko/Myślęcinek powrócą na swoją trasę. Kurs o 18.15 z pętli Dworzec Leśne odbędzie się zgodnie ze standardowym rozkładem. Wyłączone będą przystanki:
- Leśne (w ciągu ulicy Modrzewiowej po zachodniej stronie od ronda Żołnierzy-Górników)
- Modrzewiowa/Gdańska
- Las Gdański P+R
- Gdańska/Las nż
- Myślęcinek
- Gdańska/Jeździecka.

Wyznaczone będą dodatkowe przystanki: Leśne (w ciągu ulicy Modrzewiowej po wschodniej stronie od ronda Żołnierzy-Górników) oraz Armii Krajowej/Zamczysko (przystanek PKS i 52).

Autobus linii nr 41 w stronę Bydgoszczy pojedzie Al. Armii Krajowej, Wyszyńskiego i ulicami Kamienną oraz Sułkowskiego. Z obsługi pasażerskiej wyłączone będą przystanki:
- Gdańska/Jeździecka
- Myślęcinek
- Gdańska/Las nż
- Las Gdański P+R
- Modrzewiowa/Gdańska.

Dodatkowe przystanki na trasie objazdu to: Armii Krajowej/Jeździecka; Armii Krajowej/Zamczysko (przystanek PKS); Kamienna/Wyszyńskiego; Kamienna/Sułkowskiego; Sułkowskiego/Kamienna; Sułkowskiego/Czerkaska, Leśne.

Na linii nr 52 kursy wariantowe do Podkowy oraz do pętli Myślęcinek od godz. 6.02 do 17.30 skrócone do pętli Dworzec Leśne. Od rana do godz. 17.30 nie będą realizowane wszystkie kursy linii 98. Na linii 94 zawieszenie przejazdów od 6.30 do 17.30. Na linii nr 82 kursy wydłużone do pętli Las Gdański P+R do godz. 17.30 będą dojeżdżały tylko do pętli Zamczysko.

W niedzielę, od 6.48 do 17.30, inaczej pojadą autobusy 93. Kursy do Niw oraz do miejscowości Wilcze realizowane będą ulicami Modrzewiową, Al. Wyszyńskiego, Armii Krajowej, a od przystanku Osielsko/Myślęcinek powrócą na stałą trasę. Z obsługi pasażerskiej wyłączone będą przystanki:
- Leśne (w ciągu ulicy Modrzewiowej po zachodniej stronie od ronda Żołnierzy-Górników)
- Modrzewiowa/Gdańska
- Las Gdański P+R
- Gdańska/Las nż
- Myślęcinek;
- Gdańska/Jeździecka.

Dodatkowe przystanki: Leśne (w ciągu ulicy Modrzewiowej po wschodniej stronie od ronda Żołnierzy-Górników);oraz Armii Krajowej/Zamczysko (przystanek PKS i 52).

Kursy linii nr 93 do Bydgoszczy pojadą Al. Armii Krajowej, Wyszyńskiego, Kamienną i Sułkowskiego. Wyłączone będą przystanki:
- Gdańska/Jeździecka
- Myślęcinek
- Gdańska/Las nż
- Las Gdański P+R
- Modrzewiowa/Gdańska.

Dodatkowe przystanki: Armii Krajowej/Jeździecka; Armii Krajowej/Zamczysko (przystanek PKS); Kamienna/Wyszyńskiego; Kamienna/Sułkowskiego; Sułkowskiego/Kamienna; Sułkowskiego/Czerkaska; Leśne.

Zmiany na linii ZaT: Od 6.30 do 17.30 kursy do Myślęcinka przez Czerkaską i Sułkowskiego do pętli Dworzec Leśne. Brak przystanków: Gdańska/Czerkaska, Stadion Zawisza, Las Gdański P+R. Na trasie będą przystanki: Czerkaska/Gdańska, Czerkaska/Sułkowskiego, Sułkowskiego/Czerkaska, Leśne, Dworzec Leśne. Do Ronda Jagiellonów ZaT pojedzie Sułkowskiego i Czerkaską, a na stałą trasę powróci od przystanku Gdańska/Powst. Warszawy. ©℗

eprasa.pl 7d64821c2a

KONTROWERSJE

Śladem naszych publikacji. Sprawa konfliktu w bydgoskich DPS-ach i odpowiedź dyrektorki

Maciej Czerniak

Wracamy do tematu Zespołu Domów Pomocy Społecznej i Ośrodków Wsparcia w Bydgoszczy. Dyrektor zaprzecza okolicznościom przedstawianym przez bohaterów tekstu i powołuje się na wyrok sądu.

FOT. ARKADIUSZ WOJTASIEWICZ

Zespół Domów Pomocy Społecznej i Ośrodków Wsparcia

Przypomnijmy, że chodzi o konflikt grupy pracowników bydgoskich Domów Pomocy Społecznej z dyrekcją Zespołu Domów Pomocy Społecznej i Ośrodków Wsparcia. Po publikacji tekstu „Proces, skargi i oskarżenia w bydgoskich DPS-ach" z 7 sierpnia 2026 roku zwróciła się do nas dyrektor Emilia Nikodem-Boczek.

W liście przysłanym do naszej redakcji dyrektor podkreśla, iż to nieprawda, że – jak opisywaliśmy, przytaczając słowa jednej z byłych pracownic ZDPSiOW – „krzyczała na pracowników, używała wulgaryzmów lub naruszała ich godność".

„Przytoczone zarzuty pochodzą od byłego pracownika, którego roszczenia zostały prawomocnie i w całości oddalone przez Sąd Pracy I i II instancji" - zaznacza Emilia Nikodem-Boczek.

O tym, że była pracownica przegrała w sądzie, informowaliśmy w naszym tekście z 7 sierpnia. A co dokładnie znalazło się w wyroku Sądu Rejonowego w Bydgoszczy? Chodzi o sprawę, w której sąd wypowiedział się 14 czerwca 2024 roku, oddalając powództwo byłej pracownicy zespołu bydgoskich DPS-ów.

Postępowanie przed sądem

W uzasadnieniu sądowego wyroku czytamy, że pozwem z 4 września 2023 roku powódka wniosła o zasądzenie na jej rzecz 15 tysięcy złotych „za doznaną krzywdę z powodu mobbingu". Była pracownica twierdziła, jakoby dyrektorka odzywała się do niej „podniesionym głosem, wręcz krzyczała, wymachiwała rękami w sposób ożywiony, posługiwała się wulgaryzmami".

Sąd, jak zaznaczono w uzasadnieniu, „przeprowadził szerokie postępowania dowodowe, dopuszczając między innymi dowody z zeznań świadków".

Czytamy, że „żadna z licznych przesłuchanych osób nie była bezpośrednim świadkiem mobbingu wobec powódki, przy czym niektórzy świadkowie w ogóle nie mieli wiedzy istotnej dla rozstrzygnięcia sprawy".

Dalej sędzia Maciej Zarzycki podkreśla, iż powódka „nie udowodniła wystąpienia samych czynności mobbingowych", a w szczególności „żeby była nękana przez dyrektorkę". Ponadto, zdaniem sądu „niewiarygodne były zeznania samej powódki, gdyż stanowiły wyraz jej subiektywnych odczuć", a „jej zarzuty wobec dyrektorki były gołosłowne" i „większość z nich nie została wprost potwierdzona przez żadnego bezpośredniego świadka".

Dyrektor: Wytaczanie „kolejnych powództw"

W korespondencji od dyrektor Emilii Nikodem-Boczek czytamy:

„Należy podkreślić, że pomimo prawomocnego oddalenia powództw w dwóch odrębnych postępowaniach, była pracownica – zatrudniona zaledwie przez około trzy miesiące – kontynuuje formułowanie bezpodstawnych roszczeń. Jej działanie, polegające na wytaczaniu kolejnych powództw, stanowi de facto próbę usankcjonowania subiektywnych i nieznajdujących potwierdzenia w faktach zarzutów kierowanych pod adresem Dyrektora ZDPSiOW".

©℗

KRÓTKO

Inwestycje

Remont torowiska na ulicy Gdańskiej

W nocy z niedzieli na poniedziałek (z 23 na 24 sierpnia) zmieni się organizacja ruchu na skrzyżowaniu ulic Kamiennej i Gdańskiej. - Wykorzystujemy zamknięcie torowe wprowadzone w ramach przebudowy pętli Las Gdański i kompleksowo remontujemy cały odcinek torowiska od skrzyżowania z ulicą Kamienną do Myślęcinka. Wymieniamy m.in. podkłady, szyny oraz tłuczeń. Prace są kolejnym etapem naszych działań związanych z bieżącym utrzymaniem sieci torowej w Bydgoszczy. W nocy z niedzieli na poniedziałek wprowadzona zostanie tymczasowa organizacja ruchu na skrzyżowaniu ulic Gdańskiej z Kamienną. Ten etap potrwa około dwóch tygodni. Z ulicy Kamiennej nie będzie można skręcić w lewo w ulicę Gdańską w obydwóch kierunkach. Dodatkowa zmiana dotyczy pojazdów powyżej 3,5 tony, które nie będą mogły także skręcić z ulicy Gdańskiej, jadąc od strony Myślęcinka, w ulicę Kamienną. Wprowadzone zostaną również miejscowe zawężenia. Sugerowany objazd przebiega sąsiednimi ulicami oraz ul. Gdańską lub Aleją Kardynała S. Wyszyńskiego w zależności od celu podróży - informuje ZDMiKP w Bydgoszczy. **MC**

Pożar

Paliło się na ostatnim piętrze bloku

Wczoraj, około godz. 10 straż pożarna odebrała zgłoszenie o zagrożeniu pożarowym w czteropiętrowym budynku przy ulicy Fordońskiej 432 w Bydgoszczy. Pożar miał miejsce w kuchni mieszkania usytuowanego na ostatnim piętrze bloku mieszkalnego. Nikt nie odniósł obrażeń. Obyło się też bez ewakuacji mieszkańców budynku. **MC**

BEZPIECZEŃSTWO

Policjanci uczyli właściwych zachowań na drogach

Małgorzata Pieczyńska

„Bezpiecznie każdego dnia" - pod takim hasłem wczoraj na Starym Rynku w Bydgoszczy odbyła się policyjna akcja profilaktyczna. Przygotowano wiele atrakcji i praktycznych aktywności związanych z bezpieczeństwem w ruchu drogowym.

Na wydarzenie zaprosił Wydział Ruchu Drogowego Komendy Wojewódzkiej Policji we współpracy z Fundacją Jumper. Na uczestników czekało wiele atrakcji. Można było spróbować swoich sił na symulatorze zderzenia rowerowego czy symulatorze zderzenia na hulajnodze elektrycznej. Chętni mogli też zajrzeć do ciemni odblaskowej i przekonać się, jak ważne jest znaczenie elementów odblaskowych po zmroku czy wziąć udział w warsztatach z zakresu udzielania pierwszej pomocy.

Wydarzenie miało na celu promowanie bezpiecznych zachowań wśród wszystkich uczestników ruchu drogowego oraz zwiększenie wśród mieszkańców świadomości dotyczącej zagrożeń, z jakimi można spotkać się na drogach.

- Szczególnie zależało nam, by dotrzeć do osób, które poruszają się hulajnogami elektrycznymi, zwłaszcza do młodzieży, ponieważ odnotowujemy coraz więcej zdarzeń z udziałem hulajnóg elektrycznych - mówi kom. Remigiusz Rakowski, specjalista Zespołu ds. Profilaktyki Społecznej Wydziału Ruchu Drogowego KWP w Bydgoszczy.

Potwierdzeniem tych słów są policyjne statystyki. Tylko w tym roku od początku stycznia do 15 sierpnia w województwie kujawsko-pomorskim doszło do 26 wypadków z udziałem hulajnóg elektrycznych. Rannych zostało 26 osób, na szczęście nikt nie zginął. Poza tym funkcjonariusze odnotowali też 126 kolizji z udziałem hulajnóg elektrycznych. Rok temu w tym samym okresie wypadków było 20 (2 osoby zginęły, 20 zostało rannych), natomiast kolizji odnotowano 106.

Jak podkreśla kom. Remigiusz Rakowski, działania profilaktyczne „Bezpiecznie każdego dnia" były doskonałą okazją, aby w ciekawy i praktyczny sposób poszerzyć swoją wiedzę o bezpieczeństwie, zdobyć cenne umiejętności i przekonać się, jak ważna jest odpowiedzialność każdego uczestnika ruchu drogowego.

©℗

AKCJA CHARYTATYWNA
0211544823

eprasa.pl 7d64821c2a

FUNDUSZE

Do wzięcia są wielkie pieniądze od marszałka województwa, ale trzeba się pospieszyć

Adam Willma

Trwają nabory do kolejnych konkursów finansowanych z programu Fundusze Europejskie dla Kujaw i Pomorza 2021-2027. Pieniądze można dostać m.in. na małą retencję, drogi rowerowe, turystykę, remizy OSP, infrastrukturę dla biznesu.

FOT. ARCHIWUM

Woda i turystyka to jedne z celów dofinansowań

W przypadku większości konkursów dofinansowanie może pokryć do 85 proc. kosztów inwestycji. Wyjątkiem jest m.in. wsparcie infrastruktury OSP, gdzie maksymalny poziom dofinansowania wynosi 50 procent.

Blisko 20 mln przeznaczono na przedsięwzięcia związane z małą retencją i przystosowaniem do zmian klimatu. Chodzi m.in. o niewielkie zbiorniki retencyjne, oczka wodne, zagospodarowanie deszczówki, ochronę terenów podmokłych czy nasadzenia drzew i krzewów. W trwającym konkursie wnioski mogą składać m.in. samorządy, spółki wodne, instytucje odpowiedzialne za gospodarkę wodną, Wody Polskie i Lasy Państwowe. Nabór trwa do 25 sierpnia.

Osobne konkursy dotyczą działań adaptacyjnych w miastach. Pieniądze mogą być tam wykorzystywane m.in. na zatrzymywanie wód opadowych i rozwiązania ograniczające skutki upałów oraz gwałtownych opadów.

Miliony na wodę w kranach

11 mln przeznaczono w dwóch konkursach na poprawę jakości wody dostarczanej mieszkańcom. O pieniądze mogą ubiegać się przede wszystkim samorządy i podległe im podmioty. Dotacje można wykorzystać m.in. na modernizację sieci wodociągowych oraz stacji uzdatniania wody.

Uruchomiony został także nabór dotyczący infrastruktury kanalizacyjnej i oczyszczania ścieków komunalnych w aglomeracjach liczących od 10 tys. do niespełna 15 tys. RLM. Wnioski można składać do 16 września.

Na turystykę, rowery i transport

Na rozwój oferty turystycznej przeznaczono w dwóch konkursach 13,4 mln. Pieniądze mogą trafić m.in. do samorządów, organizacji turystycznych, organizacji pozarządowych, instytucji kultury i podmiotów ekonomii społecznej. Finansowane mogą być inwestycje zwiększające atrakcyjność turystyczną miejscowości i regionu. Maksymalny poziom dofinansowania wynosi 85 proc.

Łącznie około 22 mln przewidziano w konkursach związanych z mobilnością miejską i podmiejską. Pieniądze są przeznaczone m.in. na budowę i modernizację dróg dla rowerów, ciągów pieszo-rowerowych oraz systemów roweru publicznego.

O dotacje mogą ubiegać się samorządy. W jednym z nadal trwających naborów finansowana jest infrastruktura rowerowa na obszarach OPPT. Wnioski można składać do 31 sierpnia.

Ochotnicze straże pożarne mogą skorzystać ze środków na budowę, rozbudowę i modernizację swojej infrastruktury lokalowej. Tu maksymalne dofinansowanie wynosi 50 proc. kosztów inwestycji, a nabór kończy się 25 sierpnia.

Trwają również konkursy dotyczące infrastruktury służącej rozwojowi gospodarczemu. Chodzi m.in. o przygotowanie i rozwój infrastruktury wykorzystywanej przez instytucje otoczenia biznesu. W konkursie dla Bydgoskiego Obszaru Funkcjonalnego do podziału jest 4,57 mln. Wnioski są przyjmowane do 30 sierpnia. Osobny nabór prowadzony jest dla regionalnych ZIT. Tu termin składania wniosków upływa 31 sierpnia.

8,31 mln jest do podziału w konkursie dotyczącym odnowy przestrzeni publicznych na obszarach regionalnych ZIT. Samorządy mogą pozyskać pieniądze na inwestycje w przestrzenie służące mieszkańcom. Nabór trwa do 31 sierpnia.

Program obejmuje także „nabory niekonkurencyjne", w tym dotyczące restauracji i adaptacji obiektów dziedzictwa kulturowego i naturalnego. Lista konkursów wraz z regulaminami, terminami znajduje się na portalu programu. ©℗

AKCJA

Uwaga, będzie szczepienie lisów. Tego nie rób w lesie pod żadnym pozorem!

Agnieszka Romanowicz

Na początku września we wschodniej części regionu w lasach i na łąkach pojawią się szczepionki przeciw wściekliźnie dla lisów. Wiąże się to z ograniczeniami dla ludzi i zwierząt domowych.

4 - 5 września we wschodniej części województwa prowadzona będzie akcja doustnego szczepienia lisów wolno żyjących przeciwko wściekliźnie.

Obszar objęty szczepieniami to:

- powiat brodnicki,
- powiat rypiński,
- powiat lipnowski,
- powiat włocławski,
- powiat golubsko-dobrzyński,
- powiat aleksandrowski,
- powiat radziejowski;
- powiat wąbrzeski: gm. Książki, gm. Dębowa Łąka, gm. Ryńsk;
- powiat toruński gm. Obrowo, gm. Lubicz, gm. Czernikowo.

Szczepionki będą zrzucane z samolotów nad terenami niezabudowanymi, będącymi miejscami bytowania i żerowania lisów (lasy, pola, łąki, nieużytki). To brązowo-zielone, kwadratowe batoniki (ok. 4,5 cm). Zewnętrzna część to przynęta sporządzona z masy mięsno-rybnej, w środku znajduje się blister ze szczepionką.

Szczepionki dla lisów nie są obojętne dla ludzi i zwierząt domowych. Inspektorat weterynarii wydał zalecenia:

- ograniczyć wyjścia na tereny niezabudowane objęte szczepieniami w takcie zrzutu szczepionki tj. 4 - 5 września 2026 r.,
- nie dotykać i nie niszczyć przynęt (przynęty dotykane przez ludzi nie są podejmowane przez lisy),
- przez 2 tygodnie od daty zrzucenia szczepionki psy należy wyprowadzać na smyczy, a koty trzymać w zamkniętych pomieszczeniach. Przez ten czas nie organizować polowań z psami,
- kontakt człowieka z płynną zawartością szczepionki zgłaszać służbom epidemiologicznym lub medycznym (sanepid, szpital zakaźny lub przychodnia),
- w przypadkach kontaktu bezpośredniego na otwarte rany, oczy, jamę ustną lub nos natychmiast przemyć miejsca eksponowane wodą z mydłem,
- przypadki kontaktu zwierząt domowych i gospodarskich ze szczepionką zgłaszać służbom weterynaryjnym.

Szczepienie lisów przeciw wściekliźnie tylko w części naszego województwa jest zgodne z programem zwalczania wścieklizny na lata 2025 - 2027. Zostanie przeprowadzone w ze względu na sytuację z 2022 r. W kwietniu 2022 r. zostały stwierdzone dwa ogniska wścieklizny u lisów wolno żyjących w województwie mazowieckim w powiecie gostynińskim. Ogniska stwierdzono u lisów znalezionych w odległości mniejszej niż 50 km od województw kujawsko-pomorskiego i łódzkiego. W związku z tym Kujawsko-Pomorski Wojewódzki Lekarz Weterynarii i Łódzki Wojewódzki Lekarz Weterynarii wyznaczyli strefy ochronne objęte doustnym szczepieniem lisów wolno żyjących. ©℗

MATERIAŁ INFORMACYJNY ZCK
0011567625

Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem czas zacząć

Są wydarzenia, które wraz z upływem lat stają się nie tylko częścią kalendarza kulturalnego, ale także symbolem miejsca, jego tożsamości i wartości.
Do takich bez wątpienia należy Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem – najważniejsze wydarzenie folklorystyczne regionu, jeden z najbardziej prestiżowych góralskich festiwali w Polsce i Europie, a zarazem rozpoznawalna na całym świecie wizytówka Zakopanego.
Od 21 do 27 sierpnia zapraszamy na Dolną Rówień Krupową w Zakopanem. Tam poznamy „Świat góralskich wierzeń – na styku sacrum i magii".

Wyjątkowa muzyka, taniec, stroje, rzemiosło i gwara
Od dziesięcioleci festiwal pozostaje wierny swojej idei. Choć świat wokół zmienia się niezwykle dynamicznie, a współczesność przynosi nowe wyzwania i nowe formy komunikacji, Zakopane niezmiennie staje się miejscem spotkania kultur górskich z różnych stron globu. To wyjątkowa przestrzeń dialogu tradycji i współczesności, w której najważniejsze pozostają autentyczność, szacunek dla dziedzictwa oraz przekazywanie wartości kolejnym pokoleniom.
Dla Zakopanego kultura rodzima jest czymś więcej niż tylko elementem lokalnej tradycji. To fundament tożsamości miasta, jego rozpoznawalny znak i powód do dumy. Góralska muzyka, taniec, stroje, rzemiosło i gwara od pokoleń budują wyjątkowy charakter stolicy polskich Tatr.

Świat góralskich wierzeń – na styku sacrum i magii
Motywem przewodnim tegorocznej edycji festiwalu, który będzie trwał **od 21 do 27 sierpnia, stał się „Świat góralskich wierzeń – na styku sacrum i magii"**. To fascynująca podróż do świata dawnych wyobrażeń, rytuałów, symboli i wierzeń obecnych w kulturze ludowej od wieków. Góralska tradycja pełna jest opowieści o siłach natury, wierzeń związanych z cyklem życia człowieka, świętami dorocznymi, ochroną domostwa czy przekonaniami dotyczącymi szczęścia i pomyślności.
Nie zabraknie również wydarzeń, które od lat stanowią serce festiwalu. Publiczność będzie mogła uczestniczyć w koncertach konkursowych zespołów folklorystycznych z Polski i świata oraz kibicować uczestnikom Międzynarodowego Konkursu Kapel, Instrumentalistów i Śpiewaków Ludowych. Program wzbogacą koncerty gwiazd, wśród których znajdą się m.in. **Roby Lakatos** oraz **Štefan Štec**, artyści cenieni za niezwykłą umiejętność łączenia tradycji z nowoczesną interpretacją muzyki ludowej.

Serdecznie zapraszamy do Zakopanego od 21 do 27 sierpnia. Przyjdźcie, aby usłyszeć muzykę płynącą prosto z serca gór, odkryć tajemnice dawnych wierzeń i poczuć niezwykłą energię spotkania górali z całego świata.

Organizatorzy: ZAKOPANE
ZAKOPANE ZARZĄDZANIE CENTRUM KULTURY
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury - państwowego funduszu celowego
Partner Główny: MAŁOPOLSKA
Partner Strategiczny: TAURON

eprasa.pl 7d64821c2a

PROCES

Muzeum okradzione z cennych monet za 1,4 mln zł. Czy 76-letni kustosz kiedyś zostanie ukarany?

Małgorzata Oberlan

Minęły już trzy lata od startu procesu za kradzież 361 zabytkowych monet z Muzeum Okręgowego w Toruniu. Na ławie oskarżonych zasiadają: 76-letni kustosz Adam M. oraz 72-letni Andrzej R., numizmatyk. Czy i kiedy zostaną ukarani?

Porównywalnego skandalu i sensacji w polskim środowisku muzealników nie było. Jak ustaliła Prokuratura Okręgowa w Toruniu, starszy kustosz Muzeum Okręgowego w Toruniu okradał własne miejsce pracy przez 9 lat (2007-2018 rok). Łącznie przywłaszczył sobie 194 cenne monety, pochodzące z okresu od XVI do XIX wieku. Odsprzedawał je potem numizmatykowi Andrzejowi R. Ten cenne numizmaty wystawiał na krajowych i zagranicznych aukcjach. Warte były przynajmniej 1,46 mln zł.

Dlaczego Adam M. przez 9 lat był bezkarny? Inwentaryzacje w muzeum nie były prowadzone prawidłowo. Prokuratura nie zarzuciła jednak Markowi Rubnikowiczowi, byłemu dyrektorowi placówki, braku nadzoru. Tłumaczyła, że uniemożliwiają to przepisy - brak statusu funkcjonariusza publicznego dla funkcji dyrektora miejskiego muzeum.

FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

W procesie oskarżeni to 76-letni Adam M. i 72-letni Andrzej R.

Proces emerytowanego kustosza Adama M. i numizmatyka Andrzeja R. ruszył 21 czerwca 2023 roku przed Sądem Okręgowym w Toruniu. Toczy się zatem od ponad 3 lat, a finału jego nie widać. Tymczasem wyrok, który kiedyś w nim zapadnie, będzie nieprawomocny - przysługiwać będzie od niego odwołanie do Sądu Apelacyjnego w Gdańsku.

Emerytowany kustosz przyznał się w sądzie częściowo do kradzieży. Tłumaczył się ciężką sytuacją życiową. Czy mający obecnie 76-lat były kustosz zostanie kiedyś faktycznie ukarany?

- Przez ponad trzy lata tego procesu odbyło się 18 rozpraw - podaje na Jarosław Szymczak, asystent rzecznika Sądu Okręgowego w Toruniu.

Niestety, ostatnia rozprawa odbyła się w marcu br., a kolejną zaplanowano dopiero na 25 września. To półroczna przerwa! Tempo osądzania oskarżonych nie jest zatem imponujące. - Na ostatniej rozprawie 14 marca br. sąd zarządził zwrócenie się do biegłego o wydanie uzupełniającej opinii na temat monet. Trwało oczekiwanie na jej wydanie - informuje Jarosław Szymczak.

W tym uzupełnieniu ekspert ma odpowiedzieć głównie na pytania o „tożsamość monet". Chodzi o potwierdzenie, że któryś z cennych numizmatów wystawiony np. na akcji rzeczywiście jest jednym ze skradzionych w Toruniu.

Przypomnijmy, że na początku procesu sędzia Izabela Skórzyńska przesłuchała m.in. oskarżonych i pracowników, potem przyszedł czas na licznych świadków. Dalej był etap przesłuchiwania biegłych - specjalistów z różnych dziedzin, m.in. fotochemika biegłego z Laboratorium Kryminalistycznego w Bydgoszczy, specjalistę w zakresie badań cyfrowych i nośników danych. Oskarżonych bronią jedni z najlepszych i najbardziej doświadczonych adwokatów w Toruniu - Janusz Bołądź (broni kustosza) i Dariusz Kłos (broni numizmatyka). Obu grożą nie tylko surowe kary więzienia, ale też zrozumiale konsekwencje finansowe. Gra zatem toczy się w ich przypadku o naprawdę wysoką stawkę.

Jaka jest linia obrony oskarżonych? Przypomnijmy w największym skrócie ich zeznania.

- Przyznaję się do winy, ale częściowo - mówił w sądzie kustosz emeryt Adam M. Potem dodał, że kwestionuje ilość przypisanych mu

- Zostałem sam z trójką dzieci, żona odeszła. Zabrakło jednej pensji - tak tłumaczył się kustosz przed Sądem Okręgowym w Toruniu. I te właśnie okoliczności miały sprawić, że uległ pokusie i ukradł monety.

przez prokuraturę skradzionych monet. Kustosz zeznał, że znalazł się w życiowym kryzysie, gdy odeszła od niego żona. - Zostałem sam z trójką dzieci. Zabrakło jednej pensji - zeznał w śledztwie.

Prowadzący na starówce sklep numizmatyczny Andrzej R. miał mu w pewnym monecie jasno powiedzieć, że najbardziej jest zainteresowany monetami z okresu XVI-XIX wieku. Wówczas Adam M. zaczął kraść. Wynosił muzealne numizmaty pojedynczo albo po kilka. Jak zeznał śledczym, „Andrzej R. płacił gotówką". Ile? Od kilkuset do dwóch tysięcy zł za monetę.

Emerytowany kustosz szacuje, że przez wspomniane 9 lat na monetach zarobił w ten sposób ok. 200 tys. zł. Na co je wydał? Przede wszystkim na życie: bieżące potrzeby rodziny i mieszkanie. Poza tym kupił stół, krzesła i piec CO.

Według zeznań kustosza, Andrzej R. musiał wiedzieć, że monety pochodzą z muzeum. Ale oskarżony numizmatyk na starcie procesu oświadczył, że nie przyznaje się do zarzucanych mu czynów. Już na etapie śledztwa twierdził, że „nigdy nie było sytuacji, żeby nabył monety ze świadomością, iż pochodzą z muzeum". W przypadku różnych numizmatów, o które pytali go śledczy, wyjaśniał, że kupił je a to na giełdzie w Rydze, a to na aukcji w Londynie itd.©℗

WYPADEK

Pijany mężczyzna obudził się na torach bez stopy. Który pociąg go przejechał?

Małgorzata Oberlan

31-letni mężczyzna przeleżał przy torach w Brzozie pod Toruniem 12 godzin z uciętą stopą. -Niewątpliwie stopę stracił przez najechanie pociągu. Ustalamy, przez który dokładnie pociąg i w jakich okolicznościach - mówi prokurator Joanna Kordzińska.

Mężczyznę 5 sierpnia po godz. 8 rano zauważył leżącego przy torach maszynista jadącego właśnie pociągu. Zarówno on, jak i cała ekipa tego składu zareagowała wzorowo, alarmując dyżurnego ruchu na stacji w Otłoczynie. Wezwano też służby ratunkowe i policję. Okazało się, że 31-letni mężczyzna przeleżał przy torach w Brzozie pod Toruniem około 12 godzin - bez stopy. Druga też została mu potem amputowana.

Co się stało na torach?

Co się dokładnie wydarzyło w gminie Wielka Nieszawka?

Śledztwo w tej sprawie - w kierunku wypadku komunikacyjnego z ciężkimi skutkami zdrowotnymi (art. 177 par. 2 Kodeksu karnego) prowadzi Prokuratura Rejonowa Toruń Wschód. Trafiły do niej już akta z policji wraz z zebranymi dotychczas informacjami.

- Mężczyzna jest w stanie stabilnym. Został przesłuchany w charakterze pokrzywdzonego. Zeznał, że 4 sierpnia wieczorem wracał po alkoholu do domu. Stwierdził, że aby się nie zgubić, najlepiej będzie mu iść wzdłuż torów. W trakcie tej wędrówki jednak zasnął. Obudził się już bez stopy i nie pamięta, co się stało - mówi w rozmowie z nami prokurator Joanna Kordzińska, zastępca prokuratora rejonowego.

Jak wskazują śledczy, życie temu 31-letniemu mieszkańcowi okolicy w pewnym stopniu uratowała też pogoda. Był upał, wysoka temperatura. To najpewniej zahamowało krwawienie. W innych okolicznościach - przez blisko 12 godzin - mógł wykrwawić się na śmierć.

- Niewątpliwie mężczyzna stopę stracił przez najechanie pociągu, to nie podlega wątpliwościom - mówi prokurator Joanna Kordzińska. -Ustalenia wymaga, przez który konkretnie pociąg i w jakich okolicznościach.

Jak dotąd najbardziej prawdopodobnym scenariuszem wydaje się, że najechanie nastąpiło przez pociąg relacji Warszawa Wschodnia - Bydgoszcz Główna, który krytycznego wieczoru (około godz. 21) przejeżdżał właśnie przez opisywane tory. -Maszynista tego pociągu został już przesłuchany. Przejeżdżając tamtędy zauważył, że ktoś w niedozwolonym miejscu przechodzi przez tory. Zaczął wtedy gwałtownie hamować. Nie miał następnie żadnego wskazania, by w ogóle doszło do kontaktu pociągu z człowiekiem (huku czy innego hałasu, szarpnięcia). Zgodnie z procedurami zgłosił zdarzenie kierownikowi stacji w Otłoczynie i pojechał dalej - relacjonuje prok. Kordzińska.

Przeprowadzono już oględziny lokomotywy tego pociągu. - Nie było na niej żadnych śladów uderzenia - mówi prokurator. Śledczy biorą pod uwagę wstępnie, że maszynista mógł nie zauważyć najechania na stopę mężczyzny - ale to wymaga weryfikacji.

Ofiara sprawcą?

Na razie prokuratura dysponuje zebranymi przez policjantów śladami oraz relacjami pracowników kolei. Oczekuje na dokumentację medyczną ze szpitala. Planuje powołać biegłego z zakresu badania takich wypadków.

W tym momencie prokuratura niczego nie przesądza. Wskazuje jednak, że już samo przechodzenie przez tory w miejscu niedozwolonym to wykroczenie- nie wspominając o leżeniu na nich. Nie jest wykluczone, że finałem postępowania będzie wniosek, iż sprawcą wypadku na torach był sam 31-letni mężczyzna.

Oczywiście, badanym wątkiem w śledztwie jest jednak potencjalne nieudzielenie pomocy - przez te osoby, które mogły to uczynić.

©℗

eprasa.pl 7d64821c2a

HANDEL

Butelkomaty przyjmą nowe opakowania z kaucją

Agnieszka Domka-Rybka

Kolejne opakowania mają dołączyć do systemu kaucyjnego - zapowiedziała ministra klimatu. Rząd nie chce już dłużej czekać i ma zająć się tą sprawą zaraz po wakacjach.

FOT. RADOSŁAW DIMITROW

Od początku działania systemu kaucyjnego w Kujawsko-Pomorskiem zebrano 3,28 mln opakowań - wynika z danych PSK

Butelkomaty czeka spora rewolucja, ponieważ będą musiały „otworzyć się" na nowe opakowania, czyli to nie będą już tylko puszki , butelki plastikowe i szklane wielokrotnego użytku (do 1,5 l), ale także inne opakowania, jak np. kartony po napojach czy popularne „małpki".

Prace rządu, żeby rozszerzyć system kaucyjny, mają się rozpocząć jeszcze po wakacjach. Paulina Hennig-Kloska, ministra klimatu potwierdziła w rozmowie z mediami, że decyzja w tej sprawie już zapadła.

Jeśli zaś chodzi o opakowania po sokach i mleku, to one mają zostać objęte systemem Rozszerzonej Odpowiedzialności Producenta (ROP).

Jak to teraz wygląda?

System kaucyjny działa od października 2025 roku. Polega na doliczaniu dodatkowej opłaty (kaucji) do cen wybranych napojów w sklepach, a konkretnie:

* 50 groszy w przypadku plastikowych butelek PET (do 3 litrów) i metalowych puszek (do 1 l);

* 1 zł za szklane butelki wielokrotnego użytku do 1,5 litra.

Pieniądze te odzyskuje się, oddając puste opakowania w punkcie zbiórki lub automacie. Nie jest potrzebny do tego paragon.

Warunkiem zwrotu jest widoczny znak i kod kreskowy kaucji oraz brak zgniecenia butelki/puszki.

Sklepy powyżej 200 mkw. mają obowiązek przyjmowania pustych opakowań objętych kaucją.

Mniejsze sklepy uczestniczą w systemie dobrowolnie, zazwyczaj gdy sprzedają napoje w szklanych butelkach wielorazowych.

Według danych MKiŚ, w całej Polsce działa 64 tys. punktów zbiórki opakowań, a konsumenci zwrócili 2,3 mld opakowań objętych kaucją.

Od początku działania systemu w Kujawsko-Pomorskiem to 3,28 mln zebranych opakowań - wynika z danych Polskiego Systemu Kaucyjnego. Automaty kaucyjne, czyli butelkomaty, odpowiadają za 57,7 proc. tej liczby. Zwroty rejestrowane przy kasie stanowią 33,1 proc., a przez aplikację 9,2 proc. Automat jest głównym kanałem zwrotu, a aplikacja ma tu większy udział niż wynosząca 6 proc. średnia krajowa.

Dla mieszkańców Bydgoszczy i innych miejscowości regionu najważniejsze może okazać się nie to, czy opakowanie można oddać w największym sklepie w okolicy, ale czy da się to zrobić wygodnie: po drodze, przy okazji codziennych zakupów, bez konieczności planowania osobnej wizyty.

- Dla mieszkańca najważniejsze jest, aby opakowanie można było oddać blisko domu i przy okazji codziennych zakupów - mówi Anna Kozłowska, prezes PSK. - Recyklomat usprawnia obsługę większej liczby zwrotów, ale nie jest warunkiem działania punktu – sklep uczestniczący w systemie może prowadzić także zbiórkę ręczną. Co więcej, gdy automat jest chwilowo niedostępny, sklep nadal ma obowiązek przyjąć oznakowane opakowanie. Dlatego ważną rolę w rozwoju systemu mogą odegrać również małe, lokalne placówki.

Jak wynika z danych PSK dotyczących województwa kujawsko-pomorskiego, 21,0% wszystkich zebranych butelek i puszek pochodzi z małych sklepów o powierzchni poniżej 200 mkw., a 79,0% z placówek powyżej 200 mkw. W skali kraju proporcja wynosi odpowiednio 13% i 87%. Mały handel ma więc w regionie wyraźnie silniejszą pozycję niż przeciętnie w Polsce, choć większość opakowań nadal trafia do dużych placówek. Dla lokalnego sklepu udział w systemie może być sposobem na utrzymanie klienta, który chce odzyskać kaucję blisko domu i przy okazji zakupów.

Klient, który chce odzyskać kaucję, wybierze sklep, w którym jest to możliwe, i często właśnie tam zrobi zakupy. Sklepy nieuczestniczące w systemie ryzykują utratę części tego ruchu. ©℗

MATERIAŁ INFORMACYJNY T-MOBILE
0011568144

Rewolucja w polskim wideo. 75 kanałów bez umowy, bez dekodera i dla każdego internauty

Polski rynek telewizyjny doczekał się rozwiązania, które może zmienić dotychczasowe zasady gry. T-Mobile jako pierwszy operator w kraju udostępnia 75 kanałów telewizyjnych za 0 zł miesięcznie po uwzględnieniu rabatów – bez umowy, konieczności korzystania z usług sieci czy posiadania dekodera. Magenta TV stawia na swobodę wyboru i możliwość oglądania na dowolnym urządzeniu – od smartfona po Smart TV. Oferta jest dostępna dla abonentów wszystkich sieci po rejestracji na stronie t-mobile.pl oraz wyrażeniu wymaganych zgód. Cena 0 zł miesięcznie uwzględnia rabaty w wysokości 5 zł za zgody marketingowe oraz 5 zł za obsługę elektroniczną.

Telewizja wciąż pozostaje ważną częścią codzienności Polaków, ale zmienił się sposób, w jaki z niej korzystamy. Duży ekran nie jest już jedynym centrum domowej rozrywki – wiadomości, transmisje na żywo czy programy możemy oglądać także na smartfonach, tabletach i laptopach.
Jednocześnie rosnące koszty życia sprawiają, że uważniej podchodzimy do kolejnych subskrypcji i pakietów. Tradycyjny model z długoterminową umową, dekoderem i stałą opłatą coraz mniej odpowiada widzom, którzy oczekują przede wszystkim swobodnego dostępu do treści – bez zbędnych formalności i kosztów.

Koniec z dyktatem abonamentu!
Odpowiedzią na te potrzeby jest rozwiązanie, na które dotąd nie zdecydował się żaden operator infrastrukturalny w Polsce. T-Mobile odchodzi od tradycyjnego modelu i udostępnia platformę MagentaTV bez barier ograniczających dostęp do telewizji. Użytkownicy mogą bezpłatnie korzystać z pakietu 75 kanałów telewizyjnych. Oferta nie wymaga podpisywania umowy, terminowych zobowiązań ani korzystania z innych usług T-Mobile. Z MagentaTV może korzystać każdy internauta, niezależnie od operatora internetu czy sieci komórkowej. Aplikacja działa na smartfonach, tabletach, laptopach oraz telewizorach Smart TV, dzięki czemu nie ma potrzeby instalowania dodatkowego dekodera. Użytkownik sam decyduje, co i gdzie chce oglądać.
– Klienci mają dziś dość ofert, które narzucają im sztywne ramy i zmuszają do płacenia za treści, z których nie korzystają. Chcemy maksymalnie uprościć kontakt z naszą technologią i dać ludziom pełną kontrolę. MagentaTV daje dostęp każdemu, na jego własnych zasadach, bez względu na to, w jakiej sieci ma telefon czy internet – podkreśla Maximiliano Bellassai, członek zarządu T-Mobile Polska ds. rynku prywatnego.

Technologia dostępna bez wyjątku
Otwarcie telewizji na wszystkich użytkowników internetu jest kolejnym etapem zmian, które T-Mobile wprowadza od lat. Firma stopniowo odchodzi od zamkniętych ekosystemów i usuwa bariery ograniczające dostęp do nowych technologii. Wcześniej w ofercie pojawiły się smartfony z serii T Phone oraz Magenta AI. Teraz do tego zestawu dołącza telewizja, uzupełniając portfolio usług obejmujące m.in. sieć 5G Bardziej i internet światłowodowy.

Telewizja dla każdego za 0 zł/mies. po rabatach (5 zł za zgody marketingowe i 5 zł za obsługę elektroniczną) dostępna dla abonentów wszystkich sieci po zarejestrowaniu się na stronie www.t-mobile.pl oraz po wyrażeniu zgód.

– Trzydzieści lat temu uruchamialiśmy pierwszą w Polsce cyfrową sieć komórkową, udowadniając, że nowoczesna łączność może trafić do każdego. Dziś stoimy w zupełnie innym punkcie rozwoju technologii, ale nasz cel pozostaje ten sam: usuwanie sztucznych barier. Otwarcie dostępu do telewizji bez względu na sieć, z której ktoś korzysta, to naturalna konsekwencja myślenia o technologii jako narzędziu, które ma ułatwiać codzienne życie, a nie komplikować je kolejnymi formalnościami – mówi Andreas Maierhofer, prezes zarządu T-Mobile Polska.

Zero kabli, zero technicznych barier
Jedną z największych barier związanych z tradycyjną telewizją pozostaje konieczność organizowania dodatkowego sprzętu i jego instalacji. Oczekiwanie na dekoder, prowadzenie kabli, montaż anteny czy konfiguracja urządzeń mogą zniechęcać do korzystania z usługi. MagentaTV odchodzi od tego modelu. Całość działa w formie aplikacji, którą można zainstalować na kompatybilnym urządzeniu. Nie trzeba więc ponosić opłat aktywacyjnych ani kosztów dzierżawy sprzętu.

Nowy wymiar wspólnego oglądania
Mimo rozwoju streamingu kanały linearne nadal odgrywają ważną rolę. Uzupełniają serwisy VoD, oferując dostęp do wydarzeń na żywo, transmisji sportowych czy programów informacyjnych, które pozwalają widzom wspólnie przeżywać najważniejsze momenty w czasie rzeczywistym.
Telewizję można dziś oglądać na wielu urządzeniach – nie tylko przed dużym ekranem, ale także na smartfonie, tablecie czy laptopie. Dzięki temu staje się bardziej mobilna i lepiej dopasowana do codziennego stylu życia.

eprasa.pl 7d64821c2a

FOKUS

• **Dzisiaj benzyna 95 będzie kosztować nie więcej niż 6,52 zł za litr, benzyna 98 – 7,33 zł/l, a olej napędowy – 7,56 zł/l**

BEZPIECZEŃSTWO

Polska od lat buduje zintegrowaną i wielowarstwową obronę powietrzną

Wszystkie możliwe do użycia polskie systemy obrony powietrznej są rozmieszczone według wskazań wojska - powiedział w czwartek wicepremier, szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz

oprac. Karolina Wrońska

Podczas konferencji prasowej w Płocku szef MON odniósł się do pojawiających się w ostatnich dniach w przestrzeni medialnej pytań w sprawie rozmieszczenia polskich systemów obrony powietrznej.

Dyskusja na temat obrony polskiego nieba wywiązała się po słowach zastępcy szefa Agencji Uzbrojenia gen. bryg. Michała Marciniaka z soboty. Zapytany w Polsat News, czy miasta w Polsce są objęte obroną przeciwrakietową, gen. Marciniak odpowiedział, że „duże miasta na dzisiaj nie, dlatego że nie mamy rozstawionych wokół nich systemów", jednak „zapewne będą chronione", jeżeli przejdziemy do fazy wojennej, gdyż „jest lista priorytetów" i „to państwo musi podjąć decyzję, co jest kluczowe".

Kosiniak-Kamysz zaznaczył w czwartek, że Polska od kilku lat buduje zintegrowaną, wielowarstwową obronę powietrzną.

W jej skład wchodzą: program Wisła z amerykańskimi systemami średniego zasięgu Patriot, program Narew oparty na brytyjskich pociskach przeciwlotniczych krótkiego zasięgu (ok. 45 km) z rodziny CAMM, oraz program tzw. bardzo krótkiego zasięgu Pilica i Pilica+ oparty o polskie działka przeciwlotnicze, rakiety Grom i Piorun oraz o pociski CAMM.

FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK

Wicepremier, minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz podczas konferencji prasowej w Płocku

Cały ten system - podkreślił szef MON – nadal jest w trakcie budowy, a nie wszystkie elementy zostały jeszcze dostarczone. Zauważył, że dostawy niektórych systemów przewidziane są na kolejne lata.

- Nie ma drugiej sfery w polskim bezpieczeństwie, w którą byłoby zainwestowane tak dużo pieniędzy, jak w obronę przeciwlotniczą, przeciwrakietową, przeciwdronową, czyli obronę powietrzną państwa polskiego. To jest ponad 200 miliardów złotych w różnego rodzaju kontraktach – zaznaczył Kosiniak-Kamysz.

Wicepremier podkreślił, że „wszystkie systemy, które są możliwe do użycia, dzisiaj są w dyspozycji armii, są zagospodarowane i rozmieszczone według wskazań wojska", na podstawie doświadczeń i posiadanych informacji.

- Dlatego tak wiele tych systemów jest rozstawionych w województwie lubelskim, w województwie podkarpackim i w tych miejscach, gdzie ochrona infrastruktury krytycznej, tak jak tutaj w Płocku, jest kluczowa dla bezpieczeństwa państwa polskiego – dodał.

Wśród priorytetów minister obrony wymienił ochronę rafinerii w Płocku, „całej aglomeracji, ludności, infrastruktury krytycznej oraz wojsk własnych". Przypomniał, że sojusznicze systemy obrony powietrznej są rozmieszczone w Polsce od wielu miesięcy. Wskazał na holenderskie baterie Patriot, które chronią Rzeszów i lotniska w Jasionce.

Szef MON mówił też o zintegrowanej ochronie ściany wschodniej i Warszawy oraz o zaangażowaniu jednostek przeciwlotniczych, m.in. w Braniewie, Gołdapi i na granicy polsko-białoruskiej.

Kosiniak-Kamysz zapowiedział też, że „będą potrzebne zmiany w ustawie o obronie Ojczyzny, żeby szybciej jeszcze móc rozmieszczać różnego rodzaju sprzęt i jednostki".

Dowódca 3. Brygady Rakietowej Obrony Powietrznej płk Mariusz Czeczko podkreślił, że dzisiaj „praktycznie każdy z dywizjonów jest zaangażowany w osłonę naszego polskiego nieba", a wszystkie systemy uzbrojenia i środki bojowe, jakie są w dyspozycji wojska, są w ten proces zaangażowane.

PAP

KRÓTKO

Śląskie

Wyrzucił świnki morskie na śmietnik

Policjanci z Siemianowic Śląskich zatrzymali 84-latka, który pozbył się kilkunastu świnek morskich, wyrzucając je do śmieci. Mężczyzna usłyszał zarzuty dotyczące usiłowania uśmiercenia trzynastu świnek morskich, poprzez wyrzucenie ich do kontenerów na odpady. Za takie przestępstwo grozi do 3 lat więzienia. Świnkami zaopiekowało się jedno ze stowarzyszeń.

Ekologia

Zmiany w systemie kaucyjnym

Paulina Hennig-Kloska - minister klimatu i środowiska zapowiada zmiany w systemie kaucyjnym. Mają one dotyczyć wydłużenia ważności bonów z kaucjomatów. „W ramach usprawnień będziemy chcieli ustawowo wydłużyć termin ważności bonów, by były ważne znacznie dłużej niż 30 dni" – napisała minister na platformie X. I dodała: „System kaucyjny ma działać dla ludzi, nie odwrotnie. Naszym priorytetem jest wygoda zwrotu".

Rynek pracy

Pensje rosną, ale zatrudnienie spada

Przeciętne wynagrodzenie brutto w sektorze przedsiębiorstw w lipcu 2026 r. wzrosło o 6,8 proc. rdr i wyniosło 9.509,02 zł - podał Główny Urząd Statystyczny. Zatrudnienie w tym sektorze rdr spadło o 0,8 proc. Wzrost przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia w lipcu 2026 r. w ujęciu miesiąc do miesiąca wynikał z dodatkowych wypłat, m.in. nagród i premii – kwartalnych, rocznych i uznaniowych, nagród jubileuszowych oraz odpraw emerytalnych – podał GUS.

KRAKÓW

Premier o zmianie w opłacie turystycznej

Karolina Wrońska

Premier Donald Tusk powiedział w czwartek, że planowana opłata turystyczna będzie trafiała w 100 procentach, nie w 80 proc., do budżetu gminy.

Premier zapowiedział zmianę w w Krakowie, gdzie spotkał się z Moniką Piątkowską, kandydatką na prezydenta tego miasta. – Monika Piątkowska dzisiaj zwróciła moją uwagę, że dobrze byłoby i wstępnie ustalałem to też z ministrem finansów, żeby ta propozycja opłaty turystycznej w 100 procentach wracała do gminy, nie w 80 – powiedział premier.

Projekt dotyczący opłaty turystycznej, który jest w Sejmie, zakłada obecnie, że do budżetu gminy miałoby trafić 80 proc. – Wydaje się, że tutaj ta opłata turystyczna nie ma finansować turystyki, tylko ma rekompensować to wszystko, co miasto wydaje w związku z turystyką – wskazał Tusk. – Dlatego ja przychylam się do pani wniosku i tę zmianę, drobną, ale istotną wprowadzimy – zapowiedział premier.

EDUKACJA

Znane są terminy matur i egzaminów ósmoklasisty

Karolina Wrońska

W roku szkolnym 2026/2027 pisemne egzaminy maturalne w sesji głównej przeprowadzone zostaną w dniach 4-24 maja. Egzamin ósmoklasisty odbędzie się od 10 do 12 maja.

Centralna Komisja Egzaminacyjna opublikowała harmonogram egzaminów zewnętrznych.

Egzamin ósmoklasisty przeprowadzony zostanie w dniach 10-12 maja. 10 maja będzie egzamin z języka polskiego, 11 maja z matematyki, a 12 maja z języka obcego nowożytnego. Dodatkowy termin egzaminu ósmoklasisty dla uczniów, którzy nie będą mogli przystąpić do niego w terminie głównym, wyznaczono na 9-11 czerwca. Wyniki egzaminu ósmoklasisty ogłoszone zostaną 6 lipca.

Matury, w sesji głównej, przeprowadzone zostaną w dniach 4-31 maja. Sesję egzaminów pisemnych zaplanowano w dniach 4-24 maja, a ustnych 6-31 maja. Wyniki matur ogłoszone zostaną 9 lipca.

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Prezydent Karol Nawrocki zajmie stanowisko w sprawie zapowiedzianych przez rząd zmian podatkowych po przedstawieniu projektu ustawy

RAFAŁ LEŚKIEWICZ
rzecznik prezydenta RP

eprasa.pl 7d64821c2a

UKRAINA

Atak Rosji na Kijów. Uderzono w szpital dziecięcy i budynki mieszkalne

Kazimierz Sikorski

Do 12 wzrosła liczba zabitych w nocnych, zmasowanych atakach Rosji na Kijów. Piątek będzie w stolicy Ukrainy dniem żałoby – ogłosił w czwartek mer miasta Witalij Kliczko.

Atak rakietowy i dronów na Kijów miał miejsce tuż po północy 20 sierpnia. Wybuchy spowodowały drżenie domów i uruchomienie alarmów samochodowych – relacjonowała Nadia Pahava z Kyiv Independent, a redaktor naczelna Olga Rudenko dodała, że czuć było silny zapach dymu w centrum Kijowa.

„W tej chwili wiadomo o 12 ludziach, którzy zginęli w Kijowie" – napisał Kliczko w komunikatorze Telegram. „Jutrzejszy dzień, 21 sierpnia, został ogłoszony w Kijowie dniem żałoby. Ku pamięci ofiar zmasowanego ataku wroga na stolicę" – podkreślił.

Kliczko poinformował, że ratownicy usuwają skutki ataku w trzech dzielnicach: Sołomiańskiej, Swiatoszyńskiej i Darnickiej.

Uszkodzony budynek szpitala dziecięcego

W dzielnicy sołomiańskiej gruz runął koło pięciopiętrowego budynku, wybijając okna i powodując pożar. Rakiety uszkodziły też budynek szpitala dziecięcego w tej dzielnicy. W wyniku ataku do szpitali trafiło co najmniej 14 rannych.

W godzinach porannych – w trakcie kolejnej fali ataków – nad miastem unosił się zapach dymu. W pobliskich Browarach, w obwodzie kijowskim, zginął jeden mężczyzna, a drugi został ranny.

Do najnowszego ataku na stolicę dochodzi w czasie, gdy Ukraina zmaga się z niedoborem pocisków przechwytujących do systemów obrony powietrznej Patriot. To jedyna broń zdolna do zwalczania pocisków balistycznych. W ostatnich tygodniach Rosja wykorzystała tę sytuację, zwiększając liczbę pocisków używanych w atakach na ukraińskie miasta, głównie Kijów.

USA

Trump zapowiada wojnę gospodarczą i izolację Iranu

Anna Nagel

Prezydent USA Donald Trump ogłosił w środę wojnę gospodarczą przeciwko Iranowi. Zapowiedział, że każdy kraj, który pozwala na pomoc Teheranowi, poniesie „ogromne" konsekwencje gospodarcze.

Trump na swojej platformie społecznościowej Truth Social zapowiedział rozpoczęcie „najbardziej dotkliwej operacji gospodarczej", jaką kiedykolwiek przeprowadzono przeciwko jakiemukolwiek krajowi. „Będzie to wojna gospodarcza i izolacja na niespotykaną dotąd skalę" – napisał prezydent USA.

Groźba sankcji

Trump zapowiedział, że konsekwencje poniesie nie tylko Teheran, ale również inne kraje. „Każdy kraj, który pozwoli swoim instytucjom finansowym, przedsiębiorstwom, lotniskom lub podmiotom rządowym udzielać Iranowi jakiegokolwiek rodzaju pomocy, sam poniesie ogromne konsekwencje gospodarcze" – zapowiedział.

Wśród działań, które mają się jak najszybciej zakończyć, prezydent USA wymienił m.in. przemyt ropy, transfery gotówkowe, kantory wymiany walut, rejestry statków i firmy fasadowe. Trump nie sprecyzował jednak, ani o które kraje chodzi, ani jakie restrykcje będą wymierzone.

„Będzie to GOSPODARCZY D-DAY i potrzebujemy, żeby wszyscy nasi sojusznicy stanęli wraz z USA, aby odizolować Iran i pokonać zagrożenie z jego strony" – wezwał Trump.

Uznał, że Irańczycy, których określił jako „szaleńcy", są pod ścianą. Ocenił też, że ogłoszone przez niego działania „sparaliżują ich oraz ich zdolność do szerzenia terroru na całym świecie". Wpis zakończył stwierdzeniem, że Iran nigdy nie będzie miał broni nuklearnej.

Na wpis prezydenta Stanów Zjednoczonych zareagował irański minister spraw zagranicznych Abbas Aragczi. Stwierdził on, że „gospodarczy D-Day", jakim USA zagroziły Iranowi, to próba odwrócenia uwagi od problemów gospodarczych samych Stanów Zjednoczonych. Ostrzegł, że dalsza presja ze strony Waszyngtonu nie przyniesie rezultatu – przekazał Reuters.

Wstrzymane rozmowy

We wtorek Trump przekazał, że żadne rozmowy z Iranem nie są obecnie prowadzone ani nie ma negocjacji w planach. Według źródła stacji CNN tego dnia Trump miał polecić członkom swojej administracji, by wstrzymali rozmowy ze stroną irańską. Źródła CNN powiadomiły, że polecenie Trumpa skierowane do jego zespołu negocjacyjnego pojawiło się po kilku „pozytywnych rozmowach" z Irańczykami. Jednak Trump wciąż był niezadowolony z tego, że Teheran nie chciał poczynić ustępstw wobec jego żądań.

Według źródeł jeszcze w tym tygodniu USA mogą ogłosić nowe „miażdżące" sankcje na Iran.

MATERIAŁ INFORMACYJNY ENEI OPERATOR
0011570516

Operatorzy łączą siły: wspólna platforma na Giełdzie zmieni zarządzanie siecią energetyczną w Polsce

Towarowa Giełda Energii, Enea Operator, Energa-Operator oraz PGE Dystrybucja podpisały porozumienie o współpracy przy stworzeniu wspólnej platformy usług elastyczności.

To nowy rozdział współpracy oraz potencjał wykorzystania zasobów pracujących w sieciach Operatorów Sieci Dystrybucyjnych. Transformacja energetyczna – obejmująca intensywny rozwój odnawialnych źródeł energii, wzrost liczby magazynów energii oraz postępującą elektryfikację gospodarki – powoduje istotną zmianę charakteru pracy systemu elektroenergetycznego. W tych warunkach elastyczność przestaje być koncepcją teoretyczną, a staje się realną, operacyjną potrzebą funkcjonowania sieci dystrybucyjnej, warunkującą jej stabilność oraz zdolność do dalszego przyłączania nowych zasobów.

Nowa platforma ma umożliwić najbardziej efektywne wykorzystanie dostępnych zasobów elastyczności – aktywnych odbiorców, magazynów energii, źródeł wytwórczych i agregatorów – w skali całego krajowego systemu elektroenergetycznego, przy jednoczesnym uwzględnieniu lokalnych uwarunkowań pracy sieci. Istotną rolę w tym modelu odegra Towarowa Giełda Energii, która – jako podmiot regulowany – zapewni odpowiednie standardy organizacyjne, technologiczne oraz rynkowe funkcjonowania platformy.

– Transformacja energetyczna wymaga nie tylko inwestycji w infrastrukturę, lecz także nowych modeli współpracy pomiędzy uczestnikami rynku. Rozwój usług elastyczności będzie jednym z kluczowych elementów budowy nowoczesnego systemu elektroenergetycznego, a coraz większą rolę odegrają w nim agregatorzy, którzy integrują potencjał rozproszonych zasobów i udostępniają go tam, gdzie jest najbardziej potrzebny. Wspólny projekt operatorów i Giełdy pokazuje, że sektor jest gotowy do tworzenia rozwiązań opartych na standaryzacji, interoperacyjności i otwartości na innowacje – podkreśla Mariusz Buraczyński, wiceprezes zarządu ds. operacyjnych TGE.

Celem platformy jest stworzenie wspólnego, ogólnokrajowego miejsca, w którym operatorzy systemów dystrybucyjnych będą mogli pozyskiwać

usługi elastyczności od podmiotów dysponujących odpowiednimi zasobami. Oferty mają być porównywalne, a cały proces ich składania, aktywacji oraz rozliczania ma być przejrzysty i prosty. Narzędzie ma wspierać zarządzanie lokalnymi ograniczeniami sieciowymi, szczególnie tam, gdzie występują one okresowo i dotyczą konkretnych jej obszarów.

– Dynamiczny rozwój odnawialnych źródeł energii, planowany wzrost liczby magazynów energii oraz postępująca elektryfikacja gospodarki powodują, że operatorzy sieci coraz częściej potrzebują nowych narzędzi wspierających zarządzanie systemem elektroenergetycznym. To sprawia, że elastyczność staje się jednym z kluczowych elementów nowoczesnego rynku energii. Jest to szczególnie istotne na obszarach, gdzie moc OZE nawet kilkunastokrotnie przekracza szczytowe zapotrzebowanie odbiorców na energię elektryczną – mówi Marek Szymankiewicz, prezes zarządu Enei Operator.

– Usługi elastyczności stały się Świętym Graalem energetyki: mają obniżyć budżety inwestycyjne OSD, koszty energii, uchronić nas przed blackoutem, umożliwić wprowadzenie energii z off-shore. Prawda jest natomiast dużo bardziej prosta i banalna. Ważna jest przede wszystkim elastyczność sieci. Zdrowy system elektroenergetyczny to sieć o dużej elastyczności: odporna, dobrze zwymiarowana, zautomatyzowana, zarządzana w czasie rzeczywistym, odważnie korzystająca z autonomicznego przetwarzania danych powstających w głębi sieci. Usługi elastyczności w przyszłości na pewno jednak będą nas wspierać w zarządzaniu ograniczeniami sieciowymi. Spodziewam się tego zwłaszcza w sytuacji skokowego wzrostu konsumpcji energii elastycznej. Dodatkowo mają one bardzo istotną dla Operatorów cechę – skłaniają nas do bliskiej współpracy z klientami wytwórcami, odbiorcami, magazynami energii – podkreśla Robert Świerzyński, prezes zarządu Energa-Operator.

Usługi zwiększające elastyczność sieci polegają na czasowym dostosowaniu poboru lub generacji energii do aktualnych potrzeb systemu elektroenergetycznego. Mogą być świadczone między innymi przez aktywnych odbiorców, magazyny energii, źródła wytwórcze oraz agregatorów. Takie rozwiązania pozwalają efektywniej wykorzystywać istniejącą infrastrukturę sieciową oraz ograniczać ryzyko przeciążeń.

– Dla PGE Dystrybucja rozwój usług elastyczności oznacza praktyczne wsparcie dla bezpiecznej pracy sieci w warunkach rosnącej liczby źródeł rozproszonych, magazynów energii i aktywnych odbiorców. Elastyczność nie zastępuje inwestycji sieciowych, ale staje się ich ważnym uzupełnieniem. Pozwala lepiej wykorzystywać istniejącą infrastrukturę, reagować na lokalne ograniczenia oraz tworzyć warunki do dalszej i bezpiecznej integracji OZE z systemem elektroenergetycznym – dodaje Beata Kurdelska, prezeska zarządu PGE Dystrybucja.

Przedstawiciele sygnatariuszy porozumienia podkreślają, że coraz więcej wyzwań związanych z funkcjonowaniem systemu elektroenergetycznego ma charakter lokalny i wymaga działań dostosowanych do konkretnych warunków pracy sieci. W tym kontekście rośnie znaczenie magazynów energii, odbiorców aktywnych oraz innych zasobów zdolnych do świadczenia usług elastyczności.

Budowa wspólnej platformy stanowi krok w kierunku stworzenia spójnego, przejrzystego i efektywnego mechanizmu rynkowego, który połączy potrzeby operatorskie z potencjałem uczestników rynku, wspierając transformację energetyczną w Polsce w sposób bezpieczny i ekonomicznie uzasadniony.

eprasa.pl 7d64821c2a

STOPKLATKA

FOT. AUTOR

↑

Wzruszające zdjęcia z kolejnej wymiany jeńców. Tym razem Ukraina i Rosja wymieniły 103 żołnierzy wziętych do niewoli w czasie walk. Ale w tym konflikcie takie chwile odprężenia zdarzają się bardzo rzadko. Cały czas Rosja prowadzi wojnę na wyniszczenie, konsekwentnie bombardując i ostrzeliwując kolejne części Ukrainy. Kijów odpowiada atakami dronowymi

PAP/PAWEŁ SUPERNAK

↑

W Płocku rozstawiono baterie systemu rakietowego MIM-104 Patriot. Władysław Kosiniak-Kamysz, wicepremier, szef MON, wskazał je jako przykład budowy wielowarstwowej ochrony kraju i zabezpieczenia najważniejszych obiektów infrastruktury krytycznej. W ten sposób Kosiniak-Kamysz demonstrował, że Polska jest chroniona przed atakami z powietrza

→

Tak wygląda gaszenie pożaru za pomocą drona na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego. Na szczęście pożar nie był wielki, wywołało go prawdopodobnie uderzenie pioruna. Strażacy do akcji zaangażowali śmigłowiec, gdyż teren był trudno dostępny. Ale najbardziej skuteczne w akcji okazały się drony. A przy okazji powstały też efektowne zdjęcia

FOT. PAP/GRZEGORZ MOMOT

FOT. PAP/EPA/CLAUDIO GIOVANNINI

←

W Sienie odbył się tradycyjnie wyścig konny po głównym rynku miasta Piazza del Campo. Jest organizowany dwa razy do roku od czasów średniowiecza. Tym razem zwyciężył widoczny na zdjęciu Giovanni Atzeni na koniu Anda e Bola

eprasa.pl 7d64821c2a

Form-Plast upadł. Załoga czeka na wypłaty i odprawy. Szuka u nas pomocy - Str. 16

PULS*regionów*

URLOP

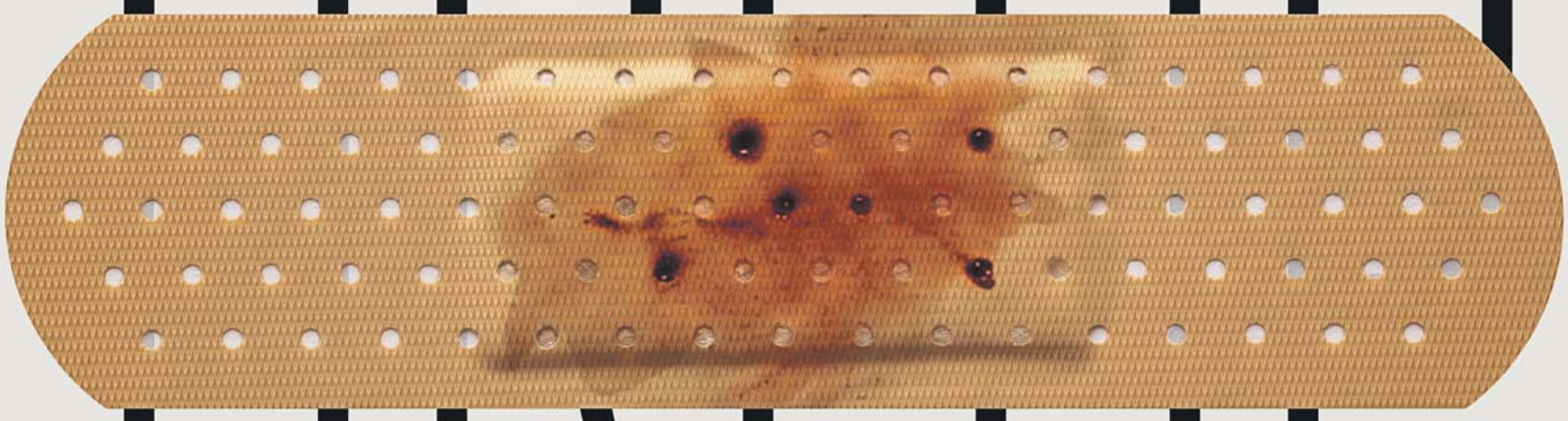

Wakacje podwyższonego ryzyka - Str. 14-15

FOT. BT/GETTY

eprasa.pl 7d64821c2a

TEMAT TYGODNIA

FOT. PAP/EPA/GEORGE VITSARAS

Seria pożarów w Europie Południowo-Zachodniej okazała się dla wielu problemem przy planowaniu i spędzaniu wakacji (na zdjęciu pożar lasu na wyspie Salamina w Grecji)

Kiedy urlop zamienia się w koszmar

Wybuchy wulkanów paraliżujące ruch lotniczy, pożary lasów w turystycznych kurortach, wypadki autokarów pełnych ludzi – czasami wymarzone wakacje nie przebiegają tak, jakbyśmy tego chcieli. Bywa, że z powodów od nas niezależnych, ale często na nasze własne życzenie

Dorota Kowalska

To była zgrana paczka znajomych, wszyscy pochodzili z Podkarpacia. Już wcześniej jeździli ze sobą na pielgrzymki: znali się, lubili, zawsze było o czym pogadać, z kim się pośmiać. W niedzielę wracali do domów z Medjugorie. Byli na miejscu kilka dni, wypoczywali. Do przejechania zostało im około trzystu kilometrów. W środku nocy na węgierskiej autostradzie między Budapesztem a Miszkolcem ich autokar zjechał do rowu.

- Rozmawiałam przez telefon z Polską, z koleżanką, i nagle: „Bum". Autobus się przewrócił, przekoziołkował. Uderzyłam głową, ale byłam na tyle przytomna, że widziałam, co się stało. Wszystkie siedzenia były powyrywane, ludzie byli pod fotelami. Wszyscy krzyczeli: „ratunku" - powiedziała w rozmowie z dziennikarzami TVN24 pani Helena.

Ma pękniętą kość ramienia, połamane żebra, uszkodzony kręgosłup.

- Autobus przewrócił się raz, potem drugi. Zdążyłam się czegoś przytrzymać, ale siedzenie zostało wyrwane razem z całą konstrukcją, trzymałam się tej ramy. W środku było ciemno, nic nie było widać. To jest nie do wyobrażenia widzieć, jak ten autobus wyglądał od środka - relacjonowała.

Wszędzie szkło z powybijanych szyb, powyrywane siedzenia autokaru.

- Swoją siostrę wyciągnęłam za nogi. Powiedziałam jej: „Ty ratuj się rękami, a ja będę cię wyciągać za nogi". Pomogłam też wydostać jednego mężczyznę. Przeciągnęłam go za nogi, ale tylko kawałek. Później pomogli już strażacy - opowiadała ocalała z wypadku.

Ludzie byli poprzygniatani fotelami. Krzyki, jęki, wołanie o pomoc. Ci, którzy byli w stanie, pomagali ciężej rannym. Na miejscu szybko pojawili się strażacy, lekarze, policja, ale też mieszkający na Węgrzech Polacy.

Bilans wypadku – tragiczny. W pojeździe było 59 osób - 57 pasażerów i dwóch kierowców. Zginęło 12 osób, 10 w stanie ciężkim przewieziono do szpitali. Część z poszkodowanych wróciła już do Polski. Sprawę badają śledczy. Kierowca, który prowadził autobus, został tymczasowo aresztowany na 30 dni, prawdopodobnie zasnął za kierownicą. Ale on też jest ofiarą.

- Szkoda tego człowieka. Rozmawiałem z ludźmi, nikt nie ma do niego pretensji - mówił w rozmowie z TVN24 drugi z kierowców. I dodał, że mężczyzna był „nad podziw rzetelny, uczciwy, uczynny".

Nie pierwszy taki wypadek

Na drogach podczas wakacji giną turyści, pielgrzymi, uczestnicy kolonijnych wycieczek. W sierpniu 2022 roku na autostradzie A4 na północ od stolicy Chorwacji jadący w kierunku Zagrzebia autobus zjechał z drogi i wpadł do rowu przy autostradzie. W wypadku, podobnie jak teraz na Węgrzech, zginęło 12 osób, 32 zostały ranne. Wszystkimi ofiarami byli Polacy, którzy pielgrzymowali do Medjugorje.

Ksiądz Rafał Działak z parafii w Koninie był jednym z poszkodowanych.

Nie spał od godz. 3.15. Siedział w jednym z przedostatnich rzędów, obserwował wszystko, co dzieje się na drodze. Na granicy z Chorwacją czekali jakieś 20 minut, była kontrola paszportowa. Pan Paweł, z którym duchowny mieszkał w jednym pokoju, zauważył, że za przejściem granicznym kierowcy zatrzymali autokar i wymienili się miejscami. I potem to się stało.

– Autokar bez żadnego gwałtownego ruchu zjechał na prawą stronę. Ja, siedząc w przedostatnim rzędzie, byłem przerażony, że wjeżdżamy w pole. Nie widziałem, że w poprzek jest wybetonowany rów. Z prędkością 100 km/h na godzinę, bez hamowania, uderzyliśmy w ten betonowy bok rowu. Byłem gdzieś w dziurze, przygnieciony przez innego człowieka. On się wydostał i ja wtedy też się wydostałem. Zobaczyłem, że cały autokar jest zmasakrowany, wszyscy są pościskani, wszystkie fotele są praktycznie powyrywane, oprócz ostatniego rzędu. To było przerażające – opowiadał potem w mediach ksiądz Rafał Działak. - Pan Paweł mówił mi, że w pewnym momencie usłyszał coś jakby wystrzał koła. Powiedział: jakby autobus złapał kapcia. Dla mnie to byłoby jakieś wyjaśnienie tego, dlaczego autobus nagle zjechał z prostej drogi - relacjonował duchowny.

W autokarze w momencie wypadku wyrwane zostały wszystkie siedzenia. Telefony, torebki, podręczny bagaż „fruwały" w powietrzu.

Ksiądz zdążył udzielić rozgrzeszenia umierającym, pomagał udzielić pomocy osobom przygniecionym przez boczne drzwi.

– To było przedziwne, bo oni siedzieli w trzecim rzędzie od końca, a przesunęło ich o kilka metrów. Jak to się stało, to jest niepojęte – wspominał.

Inny uczestnik wypadku, Paweł Drozdowski miał złamaną nogę. Przeszedł operację. Pomyślał: kierowca złapał gumę. Słyszał stuki. Autobus nagle się zatrzymał, a on wyleciał na zewnątrz. Po chwili

eprasa.pl 7d64821c2a

obudził się i popatrzył, co się dzieje. Jak wspominał, na miejscu pojawiały się kolejno służby drogowe, karetki i straż pożarna. – To było straszne. Człowiek nigdy nie widział czegoś takiego. Przeżyć coś takiego i wylecieć przez szybę... Miałem całą twarz we krwi, było pełno krwi i szkła – opowiadał. – Tam były straszne jęki. Wszyscy przygnieceni przez fotele. Nie wszystkich dało się wyciągnąć, trzeba było rozcinać wrak – dodał.

W listopadzie 2021 roku na autostradzie Struma w południowo-zachodniej Bułgarii zapalił się autobus. W pożarze zginęło 45 osób — w tym 12 przewożonych dzieci. Ofiarami byli w większości turyści, którzy wracali do Skopje z wycieczki do Stambułu.

Najtragiczniejsza katastrofa polskiego autokaru wydarzyła się we Francji w niedzielę 22 lipca 2007 roku w Vizille. To też była pielgrzymka. W wypadku zginęło 26 osób. W tej sprawie prowadzono aż dwa śledztwa. Sprawę badała prokuratura w Grenoble, w Polsce Prokuratura Okręgowa w Szczecinie. W obu przypadkach umorzono postępowania. Uznano, że za wypadek odpowiada kierowca prowadzący autokar, który zginął w katastrofie. Polska prokuratura dodatkowo stwierdziła, że prowadzący pojazd miał krótki staż zawodowy (był zmiennikiem bardziej doświadczonego kierowcy), w związku z czym w krytycznym momencie użył niewłaściwego hamulca. Zamiast włączyć hydrauliczny retarder, skorzystał wyłącznie z hamulca głównego, co spowodowało jego uszkodzenie.

4 lipca 2019 roku autokar wiozący turystów do Włoch miał wypadek w Górnej Austrii. Zginęły dwie osoby, a pięć innych zostało poważnie rannych.

Kilka dni później, 14 lipca autobus jadący do Bułgarii z dziećmi na kolonie miał poważny wypadek w pobliżu rumuńskiej miejscowości Deva, ok. 400 km od Bukaresztu. Zginęło sześć osób, w tym pięcioro dzieci.

2003 roku w Egipcie podczas dachowania autokaru zginęło sześciu polskich turystów. Wracali do Hurghady z wycieczki do Kairu. Żaden z nich nie spodziewał się tragedii.

Płoną turystyczne kurorty

Nie tylko wypadki autobusów zamieniają nasze wakacje w piekło. Czerwiec i lipiec 2026 roku przyniosły najcieplejszy początek lata, jaki kiedykolwiek odnotowano w Europie Zachodniej. Rekordowym temperaturom towarzyszyły kolejne fale upałów, rozległa susza i poważne pożary. Płonęły lasy we Włoszech, Hiszpanii, Francji, Grecji, Chorwacji.

W piątek wieczorem 7 sierpnia, niebo nad Olzano, miejscowością należącą do gminy Tignale nad jeziorem Garda we Włoszech, było czerwone — potężny pożar wybuchł w dużym kompleksie leśnym powyżej brzegu jeziora.

W sobotę sytuacja wciąż była bardzo zła. Nad regionem unosiły się gęste kłęby dymu, widoczne z odległości wielu kilometrów nad jeziorem.

- Właśnie wracaliśmy z pizzerii i chcieliśmy wrócić do hotelu. Wtedy zobaczyliśmy, że po drugiej stronie jeziora, około 10 km od nas, płonie góra. Widok był groźny. Dziś rano nad wodą krążyły samoloty gaśnicze - opisywał reporter Alex Hermann z Berlina.

Burmistrz Tignale Daniele Bonassi mówił włoskim mediom o „przerażających scenach" - płomienie pochłaniały drzewa i poszycie leśne.

Setki turystów w pośpiechu pakowało swoje rzeczy i w środku nocy uciekało na ulice. Domy wakacyjne i hotele trzeba było ewakuować.

25 lipca na lotnisku Chopina w Warszawie wylądował samolot z pasażerami z greckiej wyspy Rodos. To byli turyści, którzy z wyspy uciekli przed pożarem. W tym czasie we wschodnich częściach Grecji temperatura sięgała nawet 45 stopni Celsjusza.

- Było tragicznie. Ludzie uciekali i szli po kilkanaście kilometrów na piechotę w pełnym słońcu, bez wody, całymi rodzinami, z dziećmi. Kiedy dotarli do hotelu, w którym przebywałem, to otrzymali pomoc. Potem zapaliła się kolejna wyspa Korfu i trzeba było uciekać – opowiadał dziennikarzom na lotnisku pan Tomasz, potem dodał, że osoby, które dotarły do hotelu, mówiły, że „nikt ich nie informował, co się dzieje, co mają robić i gdzie szukać pomocy".

- Jednak lokalni mieszkańcy bardzo pomagali. Były kremy na słońce, dla dzieci pieluchy, mleko. Podobnie było na lotnisku, gdzie nadal jest masa ludzi i mam nadzieję, że wrócą bezpiecznie do kraju – mówił.

Pan Michał na wakacje na Rodos pojechał z całą rodziną oraz znajomymi.

- Dzięki Bogu jesteśmy już w domu. Biuro podróży, które nas tam wysłało, nie odbierało telefonu, a kiedy w końcu udało nam się tam dodzwonić, to powiedzieli, że jesteśmy teraz pod opieką rządu greckiego – wspomniał w rozmowie z reporterem TVN24.

Trafili do centrum pomocy zorganizowanego w hali sportowej. Mieszkańcy wyspy przywozili im jedzenie, materace, zabawki dla dzieci.

- Bardzo bałem się paniki, która mogłaby wybuchnąć, ale nic takiego się nie stało. Najgorszy okazał się jednak dym, który nas przyduszał - mówił. I opowiadał, że ludzie, którzy szli kilkanaście kilometrów plażą do bezpieczniejszego miejsca, porzucali swoje walizki, aby było im lżej iść.

Pożar na Rodos doprowadził do największej ewakuacji w historii Grecji. Ludzie z wyspy uciekali samolotami i łodziami.

Uciekali też z kurortów we Francji, Hiszpanii, a ostatnio w Chorwacji. Podobnie było rok temu, wtedy też pożary trawiły Europę, a zwłaszcza jej południe – najbardziej latem oblegane przez turystów.

Etna sparaliżowała Sycylię

W sierpniu ekstremalne upały utrudniały życie mieszkańcom Sycylii i turystom, którzy postanowili właśnie tu spędzić swoje wakacje. Ale to wybuch Etny, jednego z najbardziej aktywnych wulkanów na świecie, sparaliżował życie tego regionu. Na lotnisku w Katanii wstrzymano wszystkie przyloty i odloty. Utknęli na nim turyści. Jednym z nich jest pan Dawid, który napisał na Kontakt24 i relacjonował, co dzieje się na miejscu.

- Lotnisko w Katanii jest cały czas zamknięte, wszystkie loty zostały odwołane. Nie ma na razie informacji, kiedy ruch zostanie wznowiony. Problemy dotyczą również transportu drogowego. W okolicy jest bardzo dużo pożarów, autostrady są poblokowane. Sytuacja jest dość ciężka - opowiadał.

Lot pana Dawida przekierowano do oddalonego o ponad 200 km Palermo. Trudno się było tam dostać, bo wszyscy ruszyli w tym kierunku.

- Pilot na nas nie poczekał, wyleciał praktycznie z pustym samolotem. Znajdowało się tam może z 10 do 15 osób. Reszta z nas koczowała pod bramkami i nie wiedzieliśmy, co mamy robić. Nie dało się połączyć z przewoźnikiem – podsumował Polak.

Lot pani Gabrieli również został odwołany, dopiero o godz. 22.00 dowiedziała się, że mają lecieć o 1.45 w nocy z Palermo. Jak opisywała w rozmowie z serwisem Fly4free, na lotnisku w Katanii usłyszała, że Wizz Air nie zapewni transportu zastępczego. Razem z innymi turystkami wzięły taksówkę, za którą zapłaciły 1000 euro, jednak na miejsce dotarły na 7 minut przed planowanym odlotem. Za późno. Musiała dalej koczować w Palermo.

Osiem dni zamknięcia lotniska w Katanii kosztowało sycylijską branżę turystyczną około 22 milionów euro. W tym czasie odwołano 684 loty, utrudnienia dotknęły 104 tysięcy pasażerów. Większość z nich to turyści, którzy pojechali na wymarzone wakacje.

Woda powinna budzić respekt

Nie trzeba wyruszyć za granicę, żeby urlop skończył się dla nas tragicznie. Statystyka utonięć stale rośnie - według najnowszych danych od początku czerwca w rzekach, jeziorach, nad morzem - zginęło w Polsce 114 osób.

Nie dalej jak w miniony poniedziałek, podczas kąpieli na plaży wschodniej w Darłówku dwoje plażowiczów zostało porwanych przez silny prąd wodny. Na miejsce natychmiast skierowano ratowników Brzegowej Stacji Ratowniczej w Darłowie.

„Śmiertelny finał kąpieli w Darłówku. Dziś w rejonie Darłówka prowadzono akcję ratowniczą dotyczącą dwóch plażowiczów, którzy podczas kąpieli w morzu zostali porwani przez prąd. Do działań skierowano ratowników Brzegowej Stacji Ratowniczej w Darłowie, jednostki ratownicze R-17 i R-26 oraz pojazd ratowniczy Land Rover BSR Darłowo. Obie osoby zostały odnalezione i wydobyte z wody. U jednej z nich nasi ratownicy rozpoczęli resuscytację krążeniowo-oddechową. O godz. 19:16 na miejsce przybył śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, którego załoga przejęła prowadzenie RKO. Nasi ratownicy pozostali na miejscu, wspierając działania LPR. Niestety, pomimo prowadzonej resuscytacji, o godz. 20:04 lekarz LPR stwierdził zgon poszkodowanego" – podano w komunikacie zamieszczonym na Facebooku.

Dzisiaj wiadomo, że mężczyzna, który utonął w Bałtyku, to proboszcz parafii w Lęborku, ksiądz Rafał Cieszyński.

Na początku sierpnia trzech nastolatków postanowiło odpocząć na niestrzeżonej plaży nad Jeziorem Durowskim w Wągrowcu (woj. wielkopolskie). Jeden z nich stwierdził, że nie umie pływać i nie będzie wchodził do wody. Dwóch pozostałych weszło do jeziora. W pewnym momencie jeden z chłopców zniknął pod wodą. Drugi pospieszył mu na ratunek, ale również nie wypłynął na powierzchnię. Młodzi ludzie zostali wyłowieni przez zespół nurków. Nie dawali znaku życia, nie udało się ich uratować.

Takie historie zdarzają się na całym świecie. W tym tygodniu brytyjskie media żyją dramatem, jaki rozegrał się na plaży w Shoreham-by-Sea w południowej Anglii. Świadkowie relacjonowali, że najpierw w wodzie bawiła się dwójka dzieci. Możliwe, że zaplątały się w sieć rybacką, więc na pomoc ruszyli im rodzice, którzy bez wahania wskoczyli do wód Kanału La Manche. Rybacy zauważyli bezradną rodzinę, która nie potrafiła wyjść z wody i zaalarmowali służby. Te natychmiast pojawiły się na miejscu i rozpoczęli akcję ratunkową. Utonęli ojciec, matka i nastoletnia dziewczyna, drugie dziecko walczy o życie w szpitalu. Cała czwórka przyjechała do Shoreham-by-Sea na swój wakacyjny urlop.

Ważny zdrowy rozsądek

W czasie wakacji, podczas urlopów, mamy więcej czasu, chętniej korzystamy z rozrywek. Nie zawsze zachowujemy przy tym rozsądek.

Do końca lipca zginęło już tylu użytkowników hulajnóg elektrycznych, co przez cały ubiegły rok – w sumie 11 osób.

W sierpniu na warszawskiej Woli 15-latka wiozła na hulajnodze elektrycznej 13-letnią koleżankę. Obie jechały bez kasków, obie były pod wpływem alkoholu. Po uderzeniu w znak drogowy upadły na jezdnię, a młodsza trafiła do szpitala.

W minioną niedzielę na drodze wojewódzkiej nr 241 z Wągrowca w kierunku Bydgoszczy policjanci zauważył nastolatka na hulajnodze elektrycznej. Młodzieniec jechał bez kasku ochronnego po trasie, na której obowiązuje limit prędkości do 90 km/h. Podczas kontroli okazało się, że 15-latek nie posiadał również wymaganych dokumentów uprawniających go do kierowania tego typu pojazdem. Gdy na miejscu pojawiła się matka chłopaka, mundurowi zapytali ją, czy ten posiada zwykły rower.

- Nie po to syn dostał hulajnogę elektryczną, żeby jeździł rowerem – odparła zbulwersowana.

W tym przypadku zabrakło refleksji i wyobraźni. Brakuje ich również tym, którzy chcą zabłysnąć w sieci. „Journal of Travel Medicine" wyliczył, że w latach 2009-2022 doszło do 379 zgonów związanych z robieniem sobie zdjęć na potrzeby social mediów. Nie są to jednak kompletne dane. Wielu przypadków tego typu śmierci po prostu się nie odnotowuje. Ludzie spadają z klifów, skał, mostów, bo chcieli na Instagrama wrzucić wakacyjne „selfie".

Przykłady? Są ich setki. 23-letnia Polka zmarła w Sewilli po tym, jak spadła z wysokości siedmiu metrów z bulwaru nad rzeką Gwadalkiwir. Straciła równowagę, robiąc „selfie" z widocznym w tle pięknie oświetlonym mostem. W październiku 2021 roku 72-letni turysta, spacerując Doliną Chochołowską w Tatrach, napotkał niedźwiedzia, z którym chciał sobie zrobić zdjęcie. Podszedł zbyt blisko drapieżnika, został ugryziony w nogę. Na szczęście zwierzę na tym poprzestało.

Cóż, czasami wymarzone wakacje nie przebiegają tak, jakbyśmy tego chcieli. Zdarza się, że nie mamy na to wpływu. Trudno przecież przewidzieć pożar, powódź, czy erupcję wulkanu. W takich wypadkach najlepiej zachować zimną krew i zdrowy rozsądek. Zawsze, nawet wtedy, kiedy czujemy się bezpieczni, warto wykazać się odrobiną wyobraźni i liczyć siły na zamiary.

eprasa.pl 7d64821c2a

PRZEMYSŁ I LUDZIE

FOT. MATERIAŁY PROMOCYJNE FORM-PLAST, A.W.

Form-Plast w Bydgoszczy to, niestety, była już firma z branży przetwórstwa tworzyw sztucznych i produkcji form wtryskowych. Pracownicy czekają na zaległe wynagrodzenia - za czerwiec, lipiec i sierpień. Do syndyka zgłaszają się podmioty, które chcą kupić części majątku upadłej spółki

Form-Plast upadł. Załoga czeka na wypłaty i odprawy. Pomocy szuka nawet u nas!

Czas skończyć z mitem, że Bydgoszcz jest zagłębiem narzędziowym i formierskim. Z dawnej potęgi zostało niewiele. A ta garstka firemek, które jeszcze są i walczą o przetrwanie, też - jak wszyscy – zaopatruje się w Chinach - żali się przede mną pan Jakub. Po kilkunastu latach został zwolniony z Form-Plastu, podobnie jak kilkudziesięciu innych pracowników. Branża narzędziowa ma duże problemy w całej Europie

Agnieszka Domka-Rybka

- Dobrze, że pani o nas napisała, bo inaczej nikt by nie dowiedział się, co przeżywamy. A tak, zaraz po artykule, gdy zrobił się szum medialny, nagle znalazły się pieniądze i dostaliśmy zaległe wypłaty za maj - twierdzi były pracownik.

Wszyscy to kupują, choć każdy gardzi chińszczyzną

Form Plast S.A. w Bydgoszczy to, niestety, była już firma z branży przetwórstwa tworzyw sztucznych i produkcji form wtryskowych. Powstała w 1978 r. jako biznes rodzinny. Z czasem rozwinęła własną narzędziownię, produkując formy dla przemysłu motoryzacyjnego i elektronicznego, m.in. dla takich marek jak BMW, Volkswagen, Volvo.

29 maja tego roku Sąd Rejonowy w Bydgoszczy ogłosił upadłość Form-Plastu i wyznaczył syndyka, który 5 czerwca skierował pismo do pracowników: „Zawiadomienie wierzyciela o upadłości Pracodawcy".

Kiedyś firma zatrudniała 250 osób, a pod koniec około 80. Jej zobowiązania mają sięgać ponad 49 mln złotych.

- Cios i niedowierzanie! Choć wiedzieliśmy o problemach, to do samego końca wierzyliśmy, że firmę uda się uratować. Przecież nadzieja umiera ostatnia – mówi pan Jakub.

Wspomina, że kryzys przyszedł wraz z początkiem pandemii. Covid wywołał przerwy w łańcuchach dostaw i przestój w wielu firmach przemysłowych oraz narzędziowych: - I, jak wcześniej wyjeżdżało z Form-Plastu dziennie kilka tirów z wypraskami, tak wtedy... tylko jeden na tydzień.

Dla niewtajemniczonych: wypraski to gotowe elementy lub części uformowane pod ciśnieniem z tworzyw sztucznych, metalu lub gumy w specjalnych formach. Służą np. do tworzenia obudów urządzeń, części samochodowych, przezroczystych opakowań oraz elementów elektronicznych.

Kolejny wstrząs? Chińszczyzna, która szturmem zalewała i cały czas zalewa rynek.

- Niby wszyscy wiedzą, że chińskie produkty są gorszej jakości. Gardzi się nimi, bo wypierają rodzimą produkcję i niszczą polski biznes, ale i tak wszyscy je kupują. Nawet firmy narzędziowe sprowadzają formy z Azji. Tak to, niestety, dziś wygląda – komentuje z kolei pan Jacek, również były pracownik.

Kolejny, pan Adam, wskazuje na błędy w zarządzaniu firmą: - Wie pani, jak to jest w rodzinnych biznesach. Każdy chce rządzić. Niekoniecznie słucha mądrzejszych od siebie, bo wszystko wie najlepiej. Lepiej nie wnikać w szczegóły.

Dziś wiadomo na pewno, że w siedzibie zakładu przy ulicy Toruńskiej 143 w Bydgoszczy została tylko ochrona, która pilnuje majątku. Na wyposażeniu są ogromne maszyny narzędziowe i wtryskowe; niektóre ważą nawet 3 tysiące ton.

Najpierw pożegnano się z pracownikami z agencji zatrudnienia – panie pracowały przy wtryskarkach. Później część otrzymała wypowiedzenia w maju, zaś ci, którzy np. poszli na zwolnienia lekarskie - w czerwcu. Niektórzy byli w wieku przedemerytalnym. Na razie załoga dostała wypłaty za maj - wciąż czeka na wynagrodzenia za czerwiec, lipiec, a w przypadku zwolnionych w czerwcu - jeszcze za sierpień.

- Ci, którzy znaleźli pracę, to poza branżą i poza miastem. Powtarzam, Bydgoszcz nie jest zagłębiem narzędziowym - twardo twierdzi pan Jakub.

Kiedy dostaną zaległe wypłaty i odprawy?

O Form-Plaście, po moim artykule, zrobiło się bardzo głośno także w mediach społecznościowych. Na naszym Facebooku jest prawie 600 komentarzy. Wybrałam kilka.

Pani Ewa: „Na szczęście, udało mi się w czas przejść na emeryturę. Żal mi tylko pracowników, którym zostało do niej jeszcze kilka lat. Gdzie mają szukać pracy? Pozdrawiam i mocno trzymam kciuki".

„Tami" napisał: „Smutno się to czyta. 25 lat temu posiadali największy park obrabiarek CNC. Byli potęgą. Produkowali wszystko, od korka do wina taniego, przez zastawy dla więźniów, po obudowy telefonów. Co poszło nie tak?"

Pan Rafał: „Warunki rynkowe zdecydowały, że Polacy wolą kupować chińskie buble. Ile posiadacie misek i pojemników z tej fabryki?"

Jak aktualnie wygląda sytuacja Form-Plastu, co z zaległymi wypłatami, pytam syndyka, Arkadiusza Wiśniewskiego z kancelarii Szulc& Wiśniewski. Odpowiada: „12 sierpnia 2026 r. syndyk uzyskał z WUP w Toruniu - z Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych - pieniądze na pokrycie zaległych wynagrodzeń powstałych przed dniem ogłoszenia upadłości oraz odpraw powstałych w maju. Pieniądze zostały przekazane 79 pracownikom objętym wnioskiem, 13 sierpnia. Dodatkowo, w związku z rozwiązaniem zdecydowanej większości stosunków pracy, z dniem 31 lipca, możliwe stało się wystąpienie przez syndyka z wnioskiem do FGŚP o wypłatę odpraw i odszkodowań za skrócone okresy wypowiedzenia powstałe w związ-ku z rozwiązaniem stosunków pracy. Syndyk taki wniosek złożył i podobnie jak dotychczas niezwłocznie po przekazaniu pieniędzy trafią one do pracowników. Ponadto do syndyka zgłaszają się podmioty zainteresowane nabywaniem większych lub mniejszych części majątku upadłej spółki".

Branża narzędziowa szuka odbiorców

O problemach branży narzędziowej rozmawiam także z Piotrem Wojciechowskim, dyrektorem Bydgoskiego Klastra Przemysłowego Dolina Narzędziowa.

- Rzeczywiście, branża ma teraz duże problemy, ale nie tylko w Polsce, bo również w całej Europie - mówi Wojciechowski. - Widać to właśnie na przykładzie firm, które współpracują z branżą motoryzacyjną, jak Form-Plast, choć akurat tutaj kłopoty były od lat. Chińska konkurencja, rygorystyczne warunki narzucone przez UE, ślady węglowe, powodują, że koszty prowadzenia biznesu rosną drastycznie. Nie ma jednak większych upadłości w sektorze, też lokalnie, a raczej firmy szukają innych obszarów dla działalności, jak naprawy czy utrzymanie. Trzeba szukać nowych odbiorców. Mogłyby pracować dla przemysłu zbrojeniowego. Skoro produkowały części do samochodów, to byłyby zdolne również do pojazdów wojskowych i czołgów. Niestety, zbrojeniówka jest zamknięta dla przedsiębiorstw cywilnych.

I na koniec poetyckie refleksje inspirowane ludzkim żalem po upadku Form-Plastu. Znalazłam je na portalu do pisania opinii o pracodawcach - GoWork: „Upadła fabryka, lecz pamięć wciąż żyje. W szorstkich dłoniach ludzi, co stąd odeszli/Bo zakład to nie mury, nie blacha, nie kije, lecz życie, które w nim razem wznieśli./Zastygły formy, wtryskarki już milczą. I choć na kłódkę zamknięto dziś bramę, to Waszych dłoni i wiedzy nie zniszczą".

PS. Zmieniłam imona byłych pracowników

Tradycje narzędziowe Bydgoszczy. To już tylko wspomnienia?

Byłych pracowników Form-Plastu bardzo boli, że wraz z kolejnymi zakładami znikają miejsca pracy i kawał przemysłowej historii Bydgoszczy - od pilników i narzędzi ręcznych po precyzyjne formy i wykrojniki.

A działała m.in. na tym rynku Befana, w latach 1927- 1939 największa w Polsce wytwórnia pilników.

Prom przed wojną funkcjonował jako fabryka pilników i narzędzi. Metalowa fabryka Prodmetal została z czasem przyłączona do Promu.

Istniał również Formet, który produkował na bydgoskich Glinkach wykrojniki, tłoczniki, formy do tworzyw sztucznych, metali i gumy.

Do maja tego roku działał również Form-Plast.

Warto też wspomnieć, że w latach 70. ubiegłego wieku planowano zbudowanie nowej Befany w sąsiedztwie Zachemu.

Zakład miał zatrudniać 2 tys. osób i produkować dla kraju i na eksport. Planów nie zrealizowano z powodu kryzysu gospodarczego.

Obecnie prowadzą działalność biznesową m.in. Graform, który produkuje formy wtryskowe i narzędzia specjalne, Shapers' Polska Sp. z o.o. - narzędziownia wytwarzająca formy wtryskowe oraz Akson, czyli narzędziownia i producent form wtryskowych oraz rozdmuchowych.

eprasa.pl 7d64821c2a

OBYCZAJE

Awantura w gabinecie! Lekarz wyrzucił pacjentkę z pokoju i z sanatorium

Zaczyna się spokojnie: pani Alicja prosi o zmianę terapii, bo obawia się zdrowotnych konsekwencji zaleconych zabiegów. Lekarz odmawia, informuje ją o usunięciu z sanatorium. Spór zaognia się, słychać krzyk medyka i płacz kuracjuszki

Andrzej Pięs

Pani Alicja z początkiem sierpnia trafiła do ośrodka Glorietta Centrum Odnowy i Wypoczynku w Iwoniczu-Zdroju na terapię krótko po wszczepieniu rozrusznika serca, ale z powodu poważnych dolegliwości po poważnym urazie kręgosłupa. Lekarz specjalista w zakresie rehabilitacji medycznej w ośrodku zlecił jej terapię laserem i falami ultradźwiękowymi. To u kobiety wzbudziło obawy, że oba zabiegi mogą mieć negatywny wpływ na jej stan zdrowia, właśnie ze względu na rozrusznik. Ordynatora ośrodka poprosiła o wykreślenie tych zabiegów z listy zleceń. Z tą informacją pojawiła się u lekarza, który jej oba zaordynował, prosząc o zmianę formy terapii, choćby na masaż. Od początku pięciominutowego nagrania z tego spotkania, jakie zamieścił Zbigniew Stonoga na swoim interwencyjnym portalu, słychać rosnącą irytację medyka w trakcie rozmowy z pacjentką.

– Ani laser, ani ultradźwięki nie są zabiegami prądowymi – próbuje z początku uspokajać kuracjuszkę, że mogą wpływać na rozrusznik. – Nie chce pani, jedzie pani do domu, tyle – medyk w końcu nie wytrzymuje.

Pacjentka protestuje, powołuje się na opinię swojej fizjoterapeutki, na decyzję ordynatora; takie argumenty lekarzowi „podnoszą ciśnienie". Oświadcza, że nie interesuje go, co powiedział ordynator, a jej obowiązkiem jest przyjąć i wykonać decyzje lekarza.

– Pani przedstawia jakieś swoje dziwne wydumki, o których nie ma zielonego pojęcia – podnosi głos medyk. – Dwadzieścia osiem lat leczę, nigdy nie miałem takiej sytuacji. Wypisuję panią do domu, ja nie mam możliwości pani leczenia. Ja nie widzę absolutnie możliwości pani pobytu tutaj, obawiam się o życie pani, a w dodatku brak kontaktu logicznego z panią – powód wystarczający, jedzie pani do domu.

Panią Alicję zaskoczyła opinia lekarza o „braku kontaktu". Raz jeszcze powołała się na stanowisko ordynatora.

- A g...no mnie obchodzi, co powiedział ordynator! – wypalił medyk. – I na tym kończymy.

Rozmowa na chwilę przybiera łagodniejsze tony, kiedy medyk pyta, czy pacjentce potrzebne jest zwolnienie lekarskie. Oboje uzgodnili, że tak, do następnego dnia. Łagodne tony kończą się, kiedy pani Alicja zwraca lekarzowi uwagę, że „jest naładowany".

FOT. PDOMENA PUBLICZNA

Niektórzy internauci twierdzą, że zamiarem pani Alicji była prowokacja i „ustawka" wymierzona w lekarza

– Niech mi pani tak nie mówi, koniec dyskusji – znów on podnosi ton.

Pacjentka raz jeszcze zgłasza zastrzeżenia co do zachowania medyka. Ten oświadcza, że musi wypisać jej dokumentację. – Proszę wyjść, proszę wyjść – zwraca się do pacjentki. – I jutro pani wyjeżdża.

Następuje kilkanaście sekund ciszy, po czym...

- Jeśli tak pan traktuje ludzi z rozrusznikiem... – zaczęła kuracjuszka.

– Wyjdź pani!!! – to już był krzyk lekarza. Pani Alicja próbowała raz jeszcze odnieść się do jego zachowania. Usłyszała: „Won!". Kiedy w tym momencie ostrzegła medyka, że „dowie się o tym Warszawa", ten zakpił, że nawet Górny Śląsk. Nagranie wyraźnie wskazuje, że w tym momencie lekarz wyszedł zza biurka i „pomógł" pacjentce opuścić gabinet, powtarzając: „Wyjść mi stąd". Dalej już tylko narastający płacz kobiety, epitety pod adresem medyka, zapowiedź zgłoszenia do policji, tłumaczenie, że „przecież ordynator"...

Fala hejtu i nieco wątpliwości. Glorietta oświadcza

Pod nagraniem pojawiło się mnóstwo wpisów internautów, którzy lekarzowi nie szczędzili wulgaryzmów, gróźb i zapowiedzi.

„Proszę podać nazwisko tego chama. A i twarz także. Tu już RODO nie obowiązuje. Natychmiast zwolnić i zakaz pracy dożywotnio". Wielu proponowało rozwiązania siłowe.

Tylko nieliczni mieli wątpliwości. Po co pani Alicja zrobiła to nagranie, dlaczego nie ujawnia początku tej rozmowy, dlaczego podczas rozmowy z lekarzem kuracjuszka zachowuje spokój i dopiero po opuszczeniu gabinetu „puszczają jej nerwy"? Nieco wątpliwości co do intencji pacjentki, sugestie, że to była prowokacja i „ustawka" wymierzona w medyka.

– Jadę właśnie do pana doktora, bo chciał zająć stanowisko w tej sprawie – przyznał piątkowego południa Zbigniew Stonoga. – Poprosił o spotkanie, chce wyjaśnić, jak to dla niego nagranie jest cząstkowe i krzywdzące. Ta pani będzie składała albo już złożyła oskarżenie prywatne popełnienia przestępstwa naruszenia nietykalności osobistej i powództwo odszkodowawcze przeciwko panu doktorowi.

„Do dnia opublikowanych informacji w mediach do spółki zarządzającej Glorietta nie wpłynęło jakiekolwiek zgłoszenie, skarga czy prośba o wyjaśnienie dotyczące opisywanego zdarzenia – zarówno ze strony naszej Pacjentki, jak i osób działających w Jej imieniu" – brzmi fragment oświadczenia kierownictwa Glorietty, w którym wskazuje się także na tryb i adresatów takich skarg.

„Niemniej jednak po zapoznaniu się z opisywaną sprawą podjęliśmy wewnętrzne działania wyjaśniające mające na celu ustalenie pełnego przebiegu zdarzenia. W to-ku tych działań powzięliśmy informację, że lekarz, którego dotyczy sprawa, podjął bezpośredni dialog z Przedstawicielami Pacjentki, co przyjmujemy z uznaniem jako krok w kierunku rozwiązania sprawy w sposób bezpośredni i konstruktywny. Jednocześnie z Pacjentką skontaktował się pracownik zarządzający obiektem Glorietta, w celu wyjaśnienia okoliczności zdarzenia oraz jej wątpliwości" – głosi oświadczenie.

– Pan doktor opowiadał, jak to wygląda z jego perspektywy. Relację z tego spotkania skończył refleksją, że mimo wszystko nie powinien tak się zachować i że jest mu przykro – dodaje Zbigniew Stonoga chwilę po spotkaniu z medykiem. Nagranie publikujemy za jego zgodą.

Lekarz bije się w piersi

Lekarz pamięta tę sytuację inaczej, a jego relacja wydaje się potwierdzać wątpliwości tych, którzy zwracali uwagę, że przecież nagranie pacjentki nie ujmuje początku wizyty w gabinecie.

Była pierwszą, którą tego dnia medyk przyjął. – Skarżyła się na kołatania serca z dusznościami, potwierdziła, że takie incydenty zdarzają się jej od kilku dni – opowiada lekarz. Sprawdził wyniki jej badań i okazało się, że ma napadowe migotanie przedsionków serca.

– To jest objaw nietolerancji klimatu. Iwonicz ma specyficzne warunki środowiskowe, które sprawiają, że ludzie, którzy mają do tego predyspozycje, mają migotania przedsionków – opowiada medyk. – A to jest stan zagrożenia życia, skutkiem może być udar mózgu, zawał serca, zatorowość płucna. Poinformowałem pacjentkę, że nie może tu pozostać, musi wracać do domu, bo tutaj jej stan będzie się pogarszał i może dojść do tragedii. Odczytała to jako zamacha na jej dobra.

Okazało się, że w międzyczasie ordynator w Glorietcie odstawił pani Alicji zabiegi, które mogły nasilić dolegliwości i – zdaniem lekarza – słusznie. Kiedy zalecił jej powrót do domu, pacjenta zaczęła być pobudzona, zażądała zmiany zabiegów. Medyk zapewnia, że zaczęła machać rękami, przez chwilę miał obawy, że to może być objaw padaczki Jacksona; myślał, czy w takiej sytuacji nie wysłać jej do szpitala. Kobieta wciąż domagała się zmiany zabiegów.

– Poinformowałem ją, że nie ma mowy o żadnej zmianie, bo to jest walka o jej życie – ciągnie relację medyk, dodając, iż nie miał pojęcia, że jest nagrywany, a przebieg rozmowy wyglądał na prowokację. – Zaczęła to negować, dziwnie się zachowywać, nawet zastanawiałem się, czy to nie jest efekt niedokrwienia mózgu. Kilkanaście razy prosiłem ją o opuszczenia gabinetu. Jakby tego nie słyszała, w kółko powtarzała jedno zdanie: „Ordynator odstawił zabiegi".

Lekarz przyznaje, że jest „nerwową osobą" i że rzeczywiście doszło do karczemnej awantury.

– Powiedziałem parę nieparlamentarnych słów, nie powinienem, to nie było profesjonalne, ale stało się – bije się w piersi. – I za to mogę przeprosić. A kiedy pacjentkę chciałem raz jeszcze wyprosić, nawet podniosłem się, żeby pomóc jej wyjść, ona wtedy wypadła przez drzwi, chyba nawet uderzając barkiem o futrynę. Nie było z mojej strony żadnego użycia siły. A siniaki, które pokazywała na nagraniu, nie wynikają z tego, że ją pobiłem: to efekt działania leków przeciwkrzepliwych, które wywołują siniaczenie.

Okazuje się, że kobieta spełniła swoje zapowiedzi i po incydencie wezwała policję. Nie mając o tym pojęcia, lekarz skończył przyjmować pacjentów i przeniósł się do innego budynku, w którym przyjmowanie kontynuował.

– Kiedy dowiedziałem się od personelu, że jestem poszukiwany przez policję, poszedłem na komendę, gdzie dowiedziałem się, że pacjentka mnie nagrywała – opowiada lekarz.

Zapewnia, że próbował „jak najlepiej jej wytłumaczyć, co niespecjalnie się udało". Nie było przemocy fizycznej, naruszenia nietykalności cielesnej. Na tym etapie wiadomo, że doniesienie na policję wpłynęło, a prywatny akt oskarżenia ma być.

©℗

eprasa.pl 7d64821c2a

SPOŁECZEŃSTWO

Nowe życie w starych koszarach. Jest moc w lokatorach

Dwa lata temu pisaliśmy o „rewitalizacji zatrzymanej w pół drogi" - dawnych, zabytkowych toruńskich koszar, gdzie mieszka pół tysiąca miejskich lokatorów. Wyremontowano je za miliony z Brukseli, ale tylko od zewnątrz. Na więcej nie było pieniędzy. Ale... lokatorzy sami chwycili za szpachle i pędzle. - W remont naszej klatki włożyliśmy całe serce - mówią. A po nocach czuwają, by żaden „element" im tego nie zniszczył

Małgorzata Oberlan

Ogniste włosy, błysk w oku i dużo zapału. To pani Ewelina była motorem remontu klatki w domu przy ul. Mickiewicza 148 - jednym z kilku, składających się na kompleks dawnych koszar.

- Mieszkam tu z dziećmi od 16 lat. Klatka nigdy w tym czasie nie była remontowana i po prostu straszyła. Wstyd było kogoś zaprosić. W ten remont włożyliśmy z sąsiadami całe swoje serce, czas i siły. Teraz naszym marzeniem są domofony, żeby można było po nocach spać spokojnie i nie martwić się, że jacyś pijani wejdą i ściany poniszczą. Może i to uda się załatwić? - zastanawia się lokatorka.

Klatka pod numerem 148 remontowana była przez lokatorów przez cały lipiec. Dziś prezentuje się godnie i sympatycznie. Jest czysto i pachnąco. Zachowano oryginalną kolorystykę, czyli biel ścian i sufitów połączoną z brązem lamperii, schodów i balustrad. To zabytkowe mury, więc trzeba trzymać się wytycznych konserwatora.

- No i najważniejsze. Niech pani spojrzy - pani Ewelina pokazuje mi pamiątkowe tablice, które teraz zdobią klatkę. Mała ma przypominać, że remont wspólnie wykonali lokatorzy ze wsparciem. Dwie większe na zdjęciach prezentują, jak wyglądała klatka przed remontem i tuż po nim.

FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Same dawne koszary w Toruniu zostały wyremontowane kosztem 5,2 mln zł dzięki unijnemu wsparciu. Niestety, ta modernizacja klatek schodowych nie obejmowała...

Jest duma. A co!

Mury odnowione za miliony z Brukseli. Ale klatki straszyły dalej...

Zabytkowe koszary to budynki przy ul. Mickiewicza 146, 148 i 150 na Bydgoskim Przedmieściu. W należących do miasta budynkach z pruskiego muru jest 141 mieszkań, z czego połowa to socjalne. Mieszka tutaj ponad 500 lokatorów. Domy od lat błagały o remont.

W ramach Gminnego Programu Rewitalizacji koszary odremontowano za ponad 5,2 mln zł. Modernizacja dotyczyła elewacji, instalacji, stolarki okiennej i drzwiowej, i nie tylko. Remont zakończył się w 2022 r. Nie byłby możliwy, gdyby nie olbrzymie dofinansowanie z Brukseli. Unia Europejska wsparła remont trzech budynków na poziomie: 67, 84 i 86 procent.

Efektu „wow" po tej rewitalizacji nie było. Cieszyły i cieszą odnowione pruskie mury. Zaniedbana przez lata okolica zmieniła się nie do poznania - z punktu widzenia przechodnia. Jednak lokatorzy wychodzący z mieszkań codziennie widzieli najpierw to samo: brudne, upstrzone graffiti, nieremontowane nawet od dekad klatki schodowe. Obraz nędzy i rozpaczy.

Zakład Gospodarki Mieszkaniowej w Toruniu tłumaczył, że rewitalizacja koszar remontu klatek schodowych nie obejmowała. A on sam, z miejskich pieniędzy, nie ma środków na ciąg dalszy . Szacowano, że remont koszarowych klatek pochłonąłby jakieś 3,5 mln zł. ZGM starał się o wsparcie z Rządowego Programu Odbudowy Zabytków. Niestety, projekt nie zakwalifikował się do dofinansowania.

Efektami takiej „rewitalizacji" trudno było się zatem w pełni chwalić. - Bo to jeszcze nie jest żadna rewitalizacja. Nie jest nią nawet najkosztowniejszy remont budynku. Z poziomu zarządzających Toruniem i urzędników brak zrozumienia dla procesu i celów prawdziwej rewitalizacji, która zdegradowane obszary miasta ma wyprowadzać z kryzysu i nadawać im nowe funkcje. To proces dotyczący także ludzi, dla ludzi i z udziałem różnych stron społecznych realizowany - mówił na naszych łamach trzy lata temu Maciej Krużewski, wówczas radny miejski i specjalista od rewitalizacji. Przed laty jako urzędnik miejski wprowadzał w Toruniu pierwsze tego typu programy, a potem zajmował się rewitalizacją jako urzędnik marszałkowski.

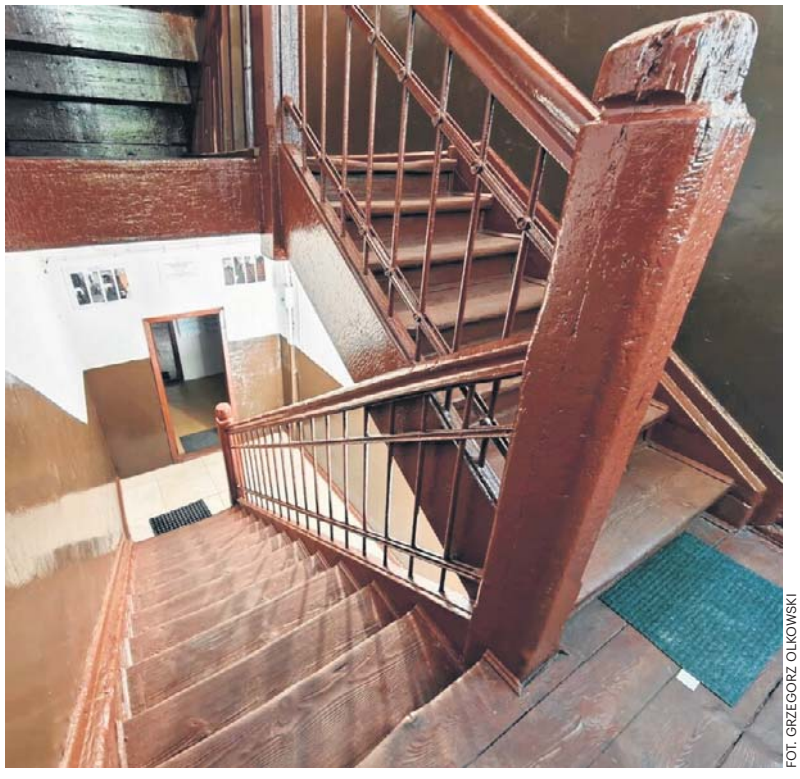

FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Klatka po remoncie - duma lokatorów

Krużewski wtedy wskazywał jasno: w zmiany w koszarach trzeba zaangażować ludzi. - Oddać pole do działania organizacjom pozarządowym, streetworkerom, animatorom pracy z dziećmi - wyliczał. - A jeśli chodzi o ten bolący remont klatek schodowych, to warto rozważyć uczestnictwo w nim samych lokatorów, choćby częściowo.

Od nastolatków po emerytów: skrobali, gładzili, malowali

Po trzech latach od tego momentu jest przełom. Lokatorzy sami wyremontowali klatkę i mają apetyt na więcej. Jak to się stało, że się udało?

- Pani Ewelina jest uczestniczką projektu „Wygrana rodzina - model toruński". Remont klatki był jej pomysłem. Potem to ona była motorem działania, zaraziła pomysłem sąsiadów, a wreszcie sama pracowała i prace po lokatorsku nadzorowała. My natomiast wspieraliśmy cały remont i pomogliśmy go przygotować. Zacząć trzeba było od pism z wnioskami do ZGM-u, które lokatorom pomagaliśmy pisać - opowiada Magdalena Dąbrowska z Toruńskiego Centrum Usług Społecznych, koordynatorka wspomnianego projektu.

Na rzecz powodzenia remontu Centrum zawiązało lokalną koalicję, jak to określa. ZGM, dla przykładu, zapewnił materiały i narzędzia. Inne instytucje wspierały. No, ale najważniejszą pracę wykonali sami lokatorzy. Zaczęli pod koniec czerwca, skończyli po miesiącu. Zmęczeni, ale szczęśliwi.

eprasa.pl 7d64821c2a

- Kto pracował przy remoncie? Kto mógł i chciał z naszej klatki. Nasi dwaj budowlańcy, pan Marcin i pan Rafał, to była fachowa siła. Pracowały też moje nastoletnie dzieci: Liliana, Tomasz i Nikodem. Dołączyli do nich nastoletni koledzy spoza koszar. A przecież to był lipiec, wakacje, upały - mogli wybrać np. wyjazdy nad jezioro - podkreśla pani Ewelina.

Kolejnymi cennymi rękoma do pracy były te 65-letniej pani Małgorzaty i 70-letnego pana Janusza. To także lokatorzy numeru „148".

- Roboty było mnóstwo. Chyba najgorsze było czyszczenie klatki przed malowaniem. Usunąć trzeba było to ohydztwo, które latami tu narosło. Nie zapomnimy tego pyłu, w którym byliśmy od rana do wieczora - śmieje się pani Ewelina.

FOT. ZGM/TCUS

FOT. ZGM/TCUS

Lokatorzy z domu przy ul. Mickiewicza 148 w ramach miejskiego projektu sami wyremontowali klatkę schodową, która straszyła od lat. Podsumowaniem remontu był piknik (z udziałem strażaków). Na zdjęciu z lewej - w zielonej sukience pani Ewelina, „motor remontu"

Dzień przed godziną zero. „Wiceprezydentka będzie, a tu taki klops!"

W całej tej remontowej, budującej historii jest jednak łyżka dziegciu. Ba, może nawet kilka.

Łyżka pierwsza: kłótnie i spory. - Były takie podczas remontu, ale staraliśmy je łagodzić. Udawało się. Generalnie przez cały lipiec byliśmy na miejscu co drugi dzień. To było potrzebne i wspierające, gdy motywacja chwilowo opadała - relacjonuje Magdalena Dąbrowska z TCUS.

Łyżka druga: w każdym domu zawsze znajdzie się jedna osoba, której remont klatki tylko przeszkadza. Nie inaczej było przy Mickiewicza 148. Bez wnikania w szczegóły - i to udało się przeżyć.

Łyżka trzecia: to już prawdziwa chochla! Na zakończenie remontu zaplanowano przed koszarowym budynkiem sąsiedzkie święto. Po pierwsze, z podziękowaniami dla pracujących lokatorów i wręczeniem im dyplomów. Po drugie, z różnymi atrakcjami, dla młodszego pokolenia szczególnie. Po trzecie - z wizytą zaprzyjaźnionych strażaków z OSP Toruń Podgórz, którzy mieli nie tylko prezentować swój sprzęt, ale dojrzeć też montażu czujników czadu.

Śmieją się ze mnie, że taką Ewelinę to trzeba by było mieć w każdej klatce po kolei. Najlepiej, jakbym się przeprowadzała i sąsiedzkie remonty rozkręcała

PANI EWELINA
lokatorka domu przy Mickiewicza 148

- Wiedzieliśmy, że przyjdzie do nas na to święto wiceprezydentka Torunia. To była jeszcze większa mobilizacja, żeby wszystko super wyszło. I wydawało się, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik, gdy zrobili nam „TO" - na wspomnienie tamtej sytuacji pani Ewelina znów się gotuje.

Dzień przed godziną zero „nieznani sprawcy" pokryli śmietnikowe boksy i otoczenie domu swoimi pseudograffiti. Były na nich wulgaryzmy i bluzgi, były symbole piłkarskiej „Elany". Autorzy remontu byli załamani.

- Na szczęście dzięki paniom z projektu udało się to jakoś zakryć na czas uroczystości. Ale złość na tych, co to musieli na finał pokazać, że ich jest na wierzchu i można drugiemu radość popsuć, została - mówi pani Ewelina.

Czy ten remont uszanują inni? „Marzymy o domofonach"

Ostatecznie święto sąsiedzkie połączone z uroczystym „oddaniem klatki do użytku" naprawdę się udało. Zostały wspomnienia i wiele zdjęć. Na nich, przed domem z pruskiego muru, kolejni lokatorzy odbierają dyplomy. Jest wyczekiwana Dagmara Zielińska, wiceprezydentka Torunia. Jest Monika Mikulska, dyrektorka ZGM-u. Są wspierający ludzie z Toruńskiego Centrum Usług Społecznych i MOPR-u.

Wiceprezydentka lokatorów wyściskała, a tak w ogóle to nie przyjechała z pustymi rękoma. Od miasta wyremontowana klatka otrzymała czujniki czadu. Nie bez powodu - były tutaj w przeszłości sytuacje zagrożenia.

No a potem był sąsiedzki piknik. Byli strażacy, wspólne zabawy, śmiechy i rozmowy. Lokatorzy dostali skrzydeł i planują dalsze remonty wspólnej przestrzeni - korytarzy wiodących do piwnicy itd. Pisma do ZGM-u skierowali, zgody dostali, czekają w blokach startowych na materiały i sygnał startu.

Jedna sprawa jednak spędza sen z oczu pani Ewelinie i jej sąsiadom. I to dosłownie! Biegnie trzeci tydzień od zakończenia remontu, a ona spać po nocach nie może. Zresztą, inni też są czujni. Chodzi o to, czy inni ich pracę uszanują i czy im czegoś na klatce nie poniszczą. Dlatego doglądają klatki nawet po zmierzchu i marzą o domofonach.

- Byłyby u nas pierwszymi chyba w koszarach. Ale przecież ludzie w Toruniu prawie wszędzie już je mają. A z domofonem, wiadomo, dom bardziej bezpieczny. Obcy tak łatwo by nie wszedł; pijany czy naćpany po nocy - też nie - mówi lokatorka.

Zła sława przemija

Przed laty koszary przy ul. Mickiewicza to był adres, który nie cieszył się dobrą sławą. Wielu bało się tutaj zapuszczać. Najmniej wskazane było to dla fanów żużlowego Apatora Toruń, bo w koszarach „rządziła Elana". Poza tym brzydota tego zaniedbanego miejsca przybijała.

To jednak już w dużej mierze historia, obrosła trochę miejskimi legendami. Dziś „koszarowy adres" dla wielu jest taki, jak każdy inny w Toruniu. Normalny. Wśród lokatorów nie brakuje rodzin z dziećmi i nastolatkami. Dorastają już w innym otoczeniu.

Numer „148" jednak wybija się dziś na czoło. - Śmieją się ze mnie, że taką Ewelinę to trzeba by było mieć w każdej klatce po kolei. Najlepiej, jakbym się przeprowadzała i sąsiedzkie remonty rozkręcała - kończy lokatorka.©℗

„Wygrana rodzina - model toruński" - projekt ze wsparciem unijnym

„Wygrana rodzina - model toruński" to projekt prowadzony przez Miejski Ośrodek Pomocy Rodzinie w Toruniu, którego liderem jest Toruńskie Centrum Usług Społecznych, a partnerem CI-STOR.
Jak sama nazwa wskazuje, celem projektu jest wzmocnienie rodzin. Wybrano kilkanaście rodzin z rejonów miasta, które wymagają wsparcia. Chodzi o uruchomienie rodzinnej siły i sąsiedzkiej samopomocy - na trwałe. To właśnie w ramach tego projektu udało się wykorzystać chęci i umiejętności lokatorów, organizując remont klatki. Trzeba go było ująć także w formalne i finansowe ramy.
Projekt realizowany będzie do 2028 roku, w ramach Programu Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego 2021-2027. Źródła finansowania to Europejski Fundusz Społeczny Plus i budżet państwa.

Rewitalizacja to nie tylko nowe mury

Czym tak naprawdę jest rewitalizacja? Najprostsza z definicji mówi, że rewitalizacja (dosłownie: ożywienie, przywrócenie do życia) jest procesem wyprowadzania ze stanu kryzysowego zdegradowanych obszarów miasta. Rewitalizacja to nie tylko remonty. Jej celem jest przywrócenie do życia zdegradowanej części miasta i uzupełnienie jej o nowe funkcje. To wprowadzenie takich zmian na obszarze części miasta, dzięki którym będzie się lepiej żyło, przebywało i pracowało.
Rewitalizacja to też praca z ludźmi, z lokalną społecznością. I nawet jeśli remonty budynków i przestrzeni publicznych są najbardziej efektowne i tak najważniejsze jest przezwyciężenie kryzysu społecznego. Rewitalizacja jest długim procesem, a jej powodzenie zależy od zaangażowania wielu stron: mieszkańców, przedsiębiorców, organizacji pozarządowych, placówek edukacyjnych, instytucji kultury, uczelni wyższych, urzędów.

eprasa.pl 7d64821c2a

ZDROWIE PSYCHICZNE

Psychoterapeutka: Nie każda tragedia musi uczynić nas silniejszymi

– Zdania: „Bądź silna", „Czas leczy rany", „Masz dla kogo żyć", choć wypowiadane w dobrej intencji, mogą jeszcze bardziej obciążyć człowieka pogrążonego w rozpaczy. Czasem bardziej leczą cisza, posiłek, spacer i najprostsze zapewnienie: „Jestem z tobą. Nie musisz teraz nic mówić" – psychoterapeutka Małgorzata Matuszewska o zdrowieniu po traumie

Anita Czupryn

FOT. PAP/EPA/ZOLTAN MATHE

Matuszewska: Jest coś takiego jak poczucie winy ocalałego. Paradoks polega na tym, że człowiek może cierpieć nie dlatego, że zrobił coś złego, lecz dlatego, że jemu się udało, a komuś innemu nie

Kiedy wydarza się coś tak dramatycznego, jak wypadek autokaru na Węgrzech, w którym zginęło 12 osób, co dzieje się z psychiką ludzi, którzy przeżyli, w pierwszych godzinach, w pierwszych dniach?

W pierwszych godzinach po tak mocnym przeżyciu człowiek nie jest w stanie w pełni zrozumieć, co się wydarzyło. Organizm przełącza się na tryb przetrwania. Może pojawić się szok, dezorientacja, niedowierzanie, zamrożenie, odrętwienie, automatyczne wykonywanie prostych, uspokajających czynności. Człowiek może na przykład siedzieć i kołysać się w przód i w tył. Ktoś po takim wydarzeniu płacze, ktoś inny zachowuje się bardzo spokojnie, jeszcze ktoś sprawia wrażenie, jakby w ogóle nic do niego nie docierało. W takiej sytuacji, z natury niezwyczajnej, nie ma jednej prawidłowej reakcji. Jeśli ktoś nie płacze, nie znaczy, że nie ma w sobie emocji. Jeśli reaguje histerycznie, nie oznacza, że ma słabą psychikę. Nie należy przykładać do tych zachowań miary właściwej codziennym sytuacjom. Układ nerwowy próbuje sobie poradzić z czymś, czego dotąd nie doświadczał w takiej skali i co przekracza jego zwykłe możliwości regulacji. Robi to po to, żeby człowiek się uratował, przetrwał. Dlatego nie powinniśmy od razu oceniać ani własnej reakcji, ani reakcji drugiej osoby. Dopiero w kolejnych dniach świadomość może stopniowo dopuszczać do siebie to, co się stało. Pojawiają się obrazy, wspomnienia, flashbacki, złość, lęk, rozpacz, poczucie nierealności. Człowiek budzi się i zastanawia, czy to był tylko zły sen, czy wydarzyło się naprawdę. W trudnych sytuacjach, na przykład po odejściu bliskiej osoby, spotykałam ludzi, którzy zajmowali się wyłącznie formalnościami, pogrzebem, rodziną. Skupiali się na zadaniach, a dopiero później zaczynali odczuwać własną tragedię. Najważniejsze jest to, że reakcja każdego człowieka może być inna. I to jest w porządku. Nie ma jednego przepisu na przeżywanie traumy.

Jak takie wydarzenie niesie później człowieka przez życie? Zostaje straumatyzowany i co to właściwie znaczy dla jego dalszego funkcjonowania?

Trzeba rozdzielić dwa etapy. Pierwszym jest wydarzenie traumatyczne. Dochodzi do niego w chwili, gdy człowiek doświadcza sytuacji zagrażającej życiu, zdrowiu albo integralności jego samego lub osób znajdujących się wokół. Drugim etapem jest reakcja traumatyczna, która nie musi pojawić się od razu. To trochę jak z falą. Samo wydarzenie jest uderzeniem, ale organizm jeszcze przez jakiś czas funkcjonuje siłą rozpędu. Dopiero kiedy pojawia się względne bezpieczeństwo, psychika zaczyna przetwarzać doświadczenie. Jesteś już w miejscu, w którym niebezpieczeństwo ci nie zagraża, zostałaś od niego odseparowana, masz wokół siebie bliskich. Właśnie dlatego powrót do domu może być bardzo trudnym momentem. Jako korespondentka wojenna widziałaś żołnierzy na froncie. Oni nie przeżywają PTSD wtedy. Zespół stresu pourazowego może dać o sobie znać dopiero, kiedy wrócą do domu, poczują się bezpieczni, odseparują się od wydarzeń. Wcześniej skupiają się wyłącznie na tym, żeby przetrwać, znaleźć innych, wrócić, załatwić konkretne sprawy. A potem zapada cisza. I właśnie wtedy dociera do człowieka: mogłem umrzeć, ktoś, kto był obok mnie, nie żyje.

Można mówić o poczuciu winy tego, kto ocalał? Dlaczego pojawiają się wyrzuty sumienia z powodu tego, że ktoś obok mnie zginął, chociaż siedzieliśmy w tym samym autokarze?

Jest coś takiego jak poczucie winy ocalałego. Paradoks polega na tym, że człowiek może cierpieć nie dlatego, że zrobił coś złego, lecz dlatego, że jemu się udało, a komuś innemu nie. Nasza psychika nie lubi przypadkowości, za wszelką cenę próbuje znaleźć regułę. Skoro ja przeżyłem, a on nie, to może zrobiłem coś, co sprawiło, że bardziej zasłużyłem na życie? To oczywiście nie musi mieć nic wspólnego z rzeczywistością. Ponad 20 lat temu powstał hiszpański thriller „Intacto". Opowiadał o ludziach, którzy przeżyli różne katastrofy, między innymi lotniczą, jeden z bohaterów ocalał z Holokaustu. „Intacto" oznacza po hiszpańsku „nietknięty". Bohaterowie uważali, że otrzymali szczególny dar, że są niezwykle bezpieczni. Zaczęli ze sobą rywalizować o to, kto jest bardziej „intacto", podejmując absurdalne ryzyko. Między innymi przebiegali przez autostradę pełną samochodów albo biegli z zasłoniętymi oczami przez las; wygrywał ten, kto najdłużej nie zderzył się z drzewem. Próbowali w ten sposób sprawdzić, kto z nich ma więcej szczęścia. To dobrze pokazuje, jak bardzo człowiek potrzebuje nadać przypadkowi jakąś regułę, nawet jeżeli jest ona całkowicie nieracjonalna. Czasem pojawia się też przekonanie: „Nie mam prawa cieszyć się życiem, skoro ktoś inny nie żyje". Wtedy żałoba zaczyna obejmować własne prawo ocalałego do dalszego życia.

Osoby, które uległy wypadkowi na Węgrzech, wracały z pielgrzymki, z Bośni i Hercegowiny, z sanktuarium w Medjugorje. To może mieć znaczenie dla sposobu przeżywania tragedii?

To, że ktoś był na pielgrzymce, może mieć znaczenie dla sposobu, w jaki będzie przeżywał tragedię. Nie można jednak z góry założyć, że religijność obroni człowieka przed traumą albo przeciwnie, że ją pogłębi. To kwestia bardzo indywidualna. Dla jednej osoby wiara będzie ogromnym źródłem sensu i wspólnoty. Ktoś inny będzie pełen wątpliwości, zacznie pytać o Boga, sprawiedliwość, sens śmierci. Takie pytania również są częścią przeżywania kryzysu. Każdy z ocalałych powinien mieć dostęp do profesjonalnej pomocy psychologicznej. Nie oznacza to oczywiście, że każdy będzie wymagał długotrwałej terapii; to także jest indywidualne. Dla jednego człowieka wystarczające okażą się bliskość rodziny, poczucie wspólnoty i możliwość rozmowy. Ktoś inny będzie potrzebował regularnego wsparcia specjalisty. Istotne jest, jak długo utrzymują się objawy i w jakim stopniu utrudniają codzienne funkcjonowanie. Jeżeli ktoś nie może jeść, spać ani funkcjonować, nie potrafi nawiązać kontaktu z bliskimi, doświadcza silnego lęku, odrętwienia, koszmarów czy flashbacków, a nawet ma poczucie, że nie chce żyć, i ten stan trwa dłużej niż miesiąc, wtedy należy skorzystać z psychoterapii.

Jak bliscy mogą pomóc osobie po tak tragicznym wydarzeniu? Zachęcać ją, żeby opowiadała, co się stało, czy dać jej spokój? Czy słowa: „Czas leczy rany", „Bądź silna", „Masz dla kogo żyć" pomagają, czy bardziej irytują?

Najważniejsze, żeby nie zmuszać. Po przeżyciu traumatycznym człowiek potrzebuje bezpieczeństwa, przewidywalności, kontaktu, odzyskiwania sprawczości i poczucia wpływu. Jako psychoterapeutka nie powiedziałabym: „Musisz o tym opowiedzieć, bo inaczej tego nie przepracujesz". To duże uproszczenie. Można powiedzieć: „Jeśli będziesz chciała o tym porozmawiać, jestem tutaj, ale nie musisz mówić teraz". Tym, co leczy, jest kontakt, relacja. Czasem wystarczą cisza, obecność drugiego człowieka, sen, jedzenie, spacer. W pierwszym okresie nie trzeba niczego przyspieszać ani wydobywać z człowieka szczegółowej relacji z wydarzenia. Ważniejsze jest przywracanie poczucia, że jest bezpieczny i może decydować, kiedy oraz ile chce powiedzieć. Słowa takie jak: „Bądź silna", „Czas leczy rany", choć wynikają z dobrej intencji, mogą nieść dodatkowy ciężar. „Bądź silna" można odebrać jako: „Nie pokazuj, jak cierpisz". „Czas leczy rany" jest tylko częściowo prawdziwe, bo sam czas nie wykona pracy terapeutycznej. „Masz dla kogo żyć" może być szczególnie trudne dla osoby pogrążonej w rozpaczy i żałobie. To tak, jakby usłyszała: „Powinnaś już funkcjonować". Wystarczą proste słowa: „Jestem z tobą", „Nie musisz być silna", „Możesz przy mnie płakać", „Będę przy tobie, kiedy będziesz przez to przechodzić". Nie potrzebujemy mądrego zdania – czasem wystarczy po prostu obecność.

Czy po takim zetknięciu się ze śmiercią ludzie rzeczywiście przewartościowują swoje życie?

Czasem tak, ale nie zawsze i nie od razu. Kontakt ze śmiercią może

eprasa.pl 7d64821c2a

sprawić, że coś, co kiedyś wydawało się ważne, nagle traci znaczenie. Wiele zależy od relacji, bliskości i kontekstu. Ktoś może pomyśleć: „Nie chcę już pracować po kilkanaście godzin. Chcę spędzać więcej czasu z rodziną. Nie chcę odkładać życia na później". Jestem jednak bardzo ostrożna w romantyzowaniu traumy. Nie każda tragedia ma przynieść człowiekowi mądrość. Trauma jest cierpieniem, i to już wystarczająco dużo. Jeśli mądrość przyjdzie, to dobrze. Jeżeli jednak pojawi się zmiana, powinna wynikać z własnego procesu, z przepracowania tego, co się stało, a nie z oczekiwania otoczenia, że po czymś takim trzeba bardziej docenić życie.

Co zatem znaczy „pozbierać się"? Jak nauczyć się żyć na nowo? Czy po takim doświadczeniu możliwy jest powrót do starego życia?

„Pozbierać się" brzmi tak, jakby człowiek zbierał się z podłogi. Jakby rozpadł się na kawałki. W ludzkim znaczeniu wcale nie oznacza to powrotu do stanu sprzed katastrofy. Człowiek przeżył coś, czego nie można unieważnić. Nie jest urządzeniem ani komputerem, który można naprawić i przywrócić do ustawień fabrycznych. Po takim przeżyciu uczy się żyć z tym, co się wydarzyło. Pamięć pozostaje, ale nie musi już definiować całego życia. To się stało, ale jestem tu i teraz, żyję dalej z tym doświadczeniem. Początkowo pamięć o wydarzeniu traumatycznym organizuje całe życie: wpływa na sen, relacje, decyzje i poczucie bezpieczeństwa. Z czasem nie musi już tego robić. Służą temu przepracowanie doświadczenia i terapia. Trauma mówi: „Niebezpieczeństwo wciąż trwa", a zdrowienie pozwala powiedzieć: „To, co się wydarzyło, jest przeszłością. Teraz jestem tutaj". Człowiek nie zapomina, ale odzyskuje możliwość bycia kimś więcej niż tylko osobą, która przeżyła katastrofę. Powrót do dawnego życia jest w pewnym sensie możliwy, ale człowiek często wraca do niego trochę inny. Nie dokładnie taki, jaki był. Już bez tych samych, jak to nazywam, ustawień fabrycznych.

Można przygotować się na tragiczne wydarzenia tak jak odkłada się pieniądze na tak zwaną czarną godzinę? Jak ćwiczyć odporność psychiczną?

Osobiście uważam, że to dobrze, że nie możemy ćwiczyć odporności psychicznej w taki sposób, bo musielibyśmy żyć w stanie permanentnego zagrożenia. Nie da się przygotować tak, żeby tragedia nie bolała. Odporność psychiczna nie polega na tym, że nic nas nie łamie, nie boli ani nie rani. Możemy jednak uczyć się rzeczy, które pomagają przechodzić przez trudne doświadczenia, niekoniecznie aż tak dramatyczne, jak katastrofa. Możemy uczyć się prosić o pomoc i rozpoznawać własne emocje: czy czuję lęk, czy jestem roztrzęsiona, przerażona? Ważne jest także ich akceptowanie, tolerowanie napięcia, zamiast myślenia: „Nie powinnam tego czuć", wypierania i chowania wszystkiego w sobie. Możemy budować relacje z innymi ludźmi, odpoczywać, dbać o ciało, poznawać własne granice. To, że ludzie w różny sposób przeżywają trudne wydarzenia, zależy także od ich wcześniejszej kondycji. Czy ktoś był wyspany, czy ma problemy w pracy, ile obciążeń już dźwiga, czy może liczyć na innych. Im więcej trudnych sytuacji nakłada się na siebie, tym bardziej spada odporność. To trochę jak z wirusami: z trzema organizm może sobie poradzić, a czwarty wywoła infekcję. Nie świadczy to o słabości człowieka, tylko o tym,że każdy układ nerwowy ma określoną pojemność i potrzebuje regeneracji. Ważna jest elastyczność, bo człowiek odporny psychicznie nie zawsze mówi: „Dam radę, jestem dzielny". Czasem bardziej odporną i mądrą reakcją jest powiedzenie: „Teraz nie daję rady, potrzebuję kogoś obok". Naszą psychikę chronią przede wszystkim relacje, obecność bliskiej osoby, na którą można liczyć i której można ufać. Nie pozorna samowystarczalność, nie umiejętność zaciskania zębów. Chronią nas bezpieczne więzi, poczucie przynależności i doświadczenie wspólnoty: w tej trudnej sytuacji nie jesteśmy sami. To samo pomaga nam także w mniejszych trudnościach.

Nie trzeba przeżyć katastrofy, żeby mieć poczucie, że świat się skończył. Człowieka mogą rozsypać różne rzeczy. W ostatnich tygodniach publicznie bardzo mocno oceniano stan psychiczny Igi Świątek. Później wygrała turniej. Czy mamy narzędzia, żeby z zewnątrz powiedzieć: „Ten człowiek jest psychicznie zdruzgotany"? Czy zawodowa porażka rzeczywiście świadczy o kryzysie psychicznym?

Byłabym bardzo ostrożna w diagnozowaniu kogoś. My, czyli osoby, które nie pracują bezpośrednio z Igą, ludzie z mediów albo jej fani, możemy snuć hipotezy i wyrażać opinie, ale na pewno nie jest to diagnoza. Diagnoza wymaga czasu, wywiadu, obserwacji, badań, czasem testów. Ważne, żeby prawidłowo nazywać to, co robimy. Pytasz, czy zawodowa porażka świadczy o kryzysie? Nie. Możemy obserwować zachowanie człowieka, ale nie mamy dostępu do jego wewnętrznego doświadczenia. Zwycięstwo nie dowodzi zdrowia psychicznego, tak samo jak porażka nie dowodzi kryzysu. Człowiek może przegrać i być psychicznie w dobrej formie. Może też wygrać, a jednocześnie przeżywać wewnętrzny kryzys. Ponieważ psychika lubi reguły i drogi na skróty, współczesna kultura bardzo łatwo zamienia każde zachowanie w objaw. Jeśli ktoś płacze, to jest załamany. Nie płacze? Znaczy, że nie ma emocji. Wygrywa? O, to pokonał kryzys. Przegrywa – nie wytrzymał presji. Tymczasem człowiek jest znacznie bardziej skomplikowany niż jego wynik.

Czy kibice i fani nie tworzą oczekiwania: był kryzys, ale teraz nasza idolka już się podniosła, więc czekamy na zwycięstwa? Czy nie wyrządzamy jej tym krzywdy?

Pytanie, czy większej krzywdy nie wyrządzają sobie w ten sposób sami kibice. Profesjonalni sportowcy mają zespoły, które przygotowują ich na nierealne oczekiwania fanów. Umówmy się: kiedy ktoś występuje na mistrzostwach świata, spotyka tam mistrzów z każdego kraju. To nie jest tak, że jest nasza Iga Świątek, a po drugiej stronie przypadkowi tenisiści z małych miejscowości. To najlepsi ludzie. Ona też jest najlepszą z najlepszych; porażka nie zmienia faktu, że wciąż należy do najlepszych.

Mam wrażenie, że to fani przeżywają większą frustrację, złość czy gniew, kiedy zawodnik nie spełnia ich oczekiwań.

Tylko czy sportowcy są po to, żeby te oczekiwania spełniać? Dostarczają nam emocji. Pytanie, czy kibice potrafią te emocje pomieścić. Oczywiście, kiedy fani cieszą się ze zwycięstwa, to jest wspaniałe. Ale nie byłoby zwycięstw, gdyby nie było porażek.

Czy po ciężkich doświadczeniach człowiek ma prawo po prostu dalej żyć? Nie ma obowiązku stać się silniejszą wersją siebie?

Ma prawo dalej żyć i powiedziałabym więcej: powinien mieć takie prawo. Nie jesteśmy winni światu posttraumatycznego rozwoju. Nie musimy stać się bardziej odporni, wdzięczni ani świadomi. Jeśli ktoś chce po tragedii odzyskać swoje zwyczajne życie, ma do tego prawo. Zdrowienie nie zawsze jest wielką przemianą. Czasami to po prostu powrót do zwyczajności, do prostych, banalnych rzeczy: spotkania z kimś, zakupów, pracy, gotowania, sprzątania, beztroskiego śmiechu. Po niezwyczajnym doświadczeniu właśnie zwyczajne życie może być ogromnym zwycięstwem.

Rozmawiam z ludźmi po pięćdziesiątce i sześćdziesiątce i dość często słyszę: „Dla mnie jest już za późno. Pewnych rzeczy nie zrobię. Wszystko, co najważniejsze, jest za mną. Nie ma sensu zaczynać od nowa". Co im mówić?

Nie odbierałabym im poczucia, że najważniejsze rzeczy już się wydarzyły. Zadałabym jednak pytanie i skierowała ich ku ciekawości: skąd wiadomo, że najlepsze rzeczy także są już za wami? Przecież tego jeszcze nie możemy wiedzieć. Myślę, że mamy w Europie bardzo silną kulturową obsesję początku: młodość, studia, kariera, sukces, budowanie. Faktycznie wiele ważnych rzeczy dzieje się na początku dorosłego życia. Kończymy studia, zaczynamy pracę, budujemy dom, zakładamy rodzinę. Ale życie nie kończy się wraz z pierwszą połową dorosłości. Po pięćdziesiątce czy sześćdziesiątce człowiek ma coś, czego wcześniej nie miał: wiedzę o sobie. Wie już więcej o tym, czego nie chce, co jest dla niego ważne, jakie relacje są dobre, a jakie go niszczą. Nie chodzi o to, żeby po pięćdziesiątce czy sześćdziesiątce zaczynać życie od nowa, od zera. Można zacząć od miejsca, do którego się doszło, i tworzyć kolejne rozdziały. Nie muszą oznaczać, że po raz pierwszy robimy coś spektakularnego; nie trzeba od razu skakać na bungee. Może polegać na tym, że po raz pierwszy robimy coś naprawdę swojego albo wracamy do czegoś, o czym kiedyś marzyliśmy, lecz nie było na to czasu czy możliwości. Piesze wycieczki, ćwiczenia z koleżanką na siłowni w plenerze, nauka obcego języka. Nawet finanse nie zawsze muszą nas ograniczać, bo mając telefon i internet, możemy się uczyć niemal wszędzie.

Sensu życia powinniśmy szukać czy raczej go budować? I jak to się robi?

Myślę, że przede wszystkim budować. Słowo „szukać" sugeruje, że gdzieś istnieje ukryty sens naszego życia, a naszym zadaniem jest go odnaleźć. To odbiera człowiekowi poczucie sprawczości. Uważam, że mamy możliwość nadawania znaczenia własnym doświadczeniom. Sens nie musi być wielki. Kiedy mówimy o jego szukaniu, brzmi to trochę jak poszukiwanie skarbu. Tymczasem dla jednej osoby sensem będzie rodzina, dla innej twórczość, dla kogoś relacja, natura, wiara, pomaganie innym czy praca. Ważne jest również to, że sens może się zmieniać. To, co było ważne w wieku 25 lat, nie musi być ważne, kiedy mamy 60 czy 80 lat. Dojrzałość polega między innymi na wewnętrznej zgodzie, by budować kolejne rozdziały życia, zamiast przez cały czas bronić pierwszego: „Muszę być zdobywcą, zakładać kolejne firmy, odnosić sukcesy". Czasem chodzi właśnie o odpuszczenie.

Jakie sygnały świadczą o tym, że poradziliśmy sobie z traumą, wstajemy z tej przysłowiowej podłogi i zaczynamy się odbudowywać? Co może nam w tym pomóc, a co będzie przeszkadzać?

Z mojego doświadczenia wynika, że pierwszym sygnałem niekoniecznie jest dobry humor; to przychodzi później. Wcześniej pojawia się odzyskiwanie ciekawości świata. Co dzisiaj zrobię? Z kim chcę się spotkać? Wolę zieloną herbatę czy czarną? Co założę? Którego żelu użyję pod prysznicem? To maleństwa, drobiazgi, ale właśnie od nich się zaczyna. Człowiek zaczyna zauważać świat poza własnym cierpieniem. Jeżeli widzisz wyłącznie swoje cierpienie, nadal leżysz na tej podłodze. Kiedy wraca apetyt, sen zaczyna się regulować, odzyskujesz zdolność planowania, przestajesz działać wyłącznie w trybie przetrwania. Myślisz: „Chciałabym jeszcze zrobić to. Kiedy mogę to zrobić?". Pojawiają się drobne przyjemności, znowu smakują ci lody. Po żałobie zaczynasz się śmiać bez poczucia, że zdradzasz tych, którzy cierpieli albo zmarli. Ważnym sygnałem jest odzyskiwanie sprawczości: nie mam wpływu na to, co się wydarzyło, ale mam wpływ na to, co zrobię dzisiaj. To nie musi być wielka decyzja. Może nią być wyjście z domu, telefon do bliskiej osoby, przygotowanie posiłku, powrót do małego rytuału. Pomagają relacje, bezpieczeństwo, możliwość porozmawiania o swoich przeżyciach również z profesjonalistą. A także ruch, sen i codzienna struktura. Przeszkadza presja, wszystkie te komunikaty: „Już powinieneś", „Musisz być silny", „Inni mają gorzej". Odbierają człowiekowi prawo do własnego tempa. To właśnie takie drobne kamyczki budują człowieka na nowo.

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Małgorzata Matuszewska

Psychoterapeutka. Absolwentka Szkoły Psychoterapii Gestalt w Warszawie. Pracuje z parami i osobami w depresji. Ekspertka od relacji, PR-managerka. Ukończyła również dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim

eprasa.pl 7d64821c2a

PASJE

Bargiel: Nie chcę być ani bohaterem, ani ryzykantem. Kocham góry, ale umiem im powiedzieć „nie”

Kiedy wrócił po wejściu i zjeździe na nartach z K2, mówił o nim cały świat. Ojciec zapytał tylko, czy skończył już tę wycieczkę, bo trzeba zebrać słomę. Andrzej Bargiel mówi o domu, który chroni go przed ciężarem własnej legendy

Anita Czupryn

Co trzeba mieć w sobie, żeby stanąć na Mount Evereście – na dachu świata, a potem przypiąć narty i ruszyć w dół?

Trzeba mieć determinację, ale też ciekawość tego, czego chcemy spróbować. To ona motywowała mnie, żeby mimo nieudanych prób wracać. Jest w tym poznawanie siebie, obcowanie z przyrodą i próba jej zrozumienia. Wybrałem się w Himalaje jesienią, kiedy nie było tam nikogo. To zupełnie inny wymiar działalności niż ten, który znamy z zatłoczonych obrazków. Spadło dużo śniegu, nie było śladów po poprzednikach. Wszystko było czyste, dzikie. To wielki przywilej, że mogłem zobaczyć Everest właśnie taki wyjątkowy, niezniszczony przez tłum.

Teraz w czerwcu działał pan na Nanga Parbat. Czego nie widać na filmie, kiedy człowiek rusza na nartach ze szczytu ośmiotysięcznika?

Trzeba być świadomym tego, co się robi, i mieć precyzyjny plan. Na filmie nie widać zagrożeń. Problemem nie jest tylko stromizna i znalezienie linii, która przeprowadzi nas ze szczyty do bazy. Trzeba brać pod uwagę lawiny, jakość śniegu, pogodę. Nie widać też wieloletniej pracy, treningów i doświadczeń, dzięki którym stajemy się samodzielni. Nikt nie podejmuje tam za nas decyzji. Sami musimy rozumieć sytuację i na bieżąco rozwiązywać problemy.

Inni na szczycie Himalajów pomyśleliby: „Udało się”, a pan wtedy przypina narty. Co w takim momencie dzieje się w głowie?

Sam zjazd jest nagrodą za wielogodzinną wspinaczkę. Lubię to robić. To ogromna przyjemność. Jestem w wyjątkowym miejscu, bardzo wysoko, w trudnym środowisku, ale potrafię jeździć na nartach i to działa. Największa satysfakcja przychodzi po kilku godzinach, kiedy docieram do bazy i uświadamiam sobie, że jeszcze chwilę temu byłem tak wysoko.

Z Mount Everestu zjechał pan bez dodatkowego tlenu jako pierwszy człowiek na świecie. Z Nanga Parbat dokonał pan pierwszego pełnego zjazdu do końca warunków śniegowych. Który zjazd bardziej pana przestraszył?

FOT. BARTŁOMIEJ PAWLIKOWSKI / RED BULL

Andrzej Bargiel: Trzeba być bardzo świadomym tego, co się robi, i mieć precyzyjny plan. Na filmie nie widać zagrożeń

W górach ryzyko wyznaczają warunki, nie trudność techniczna. Ludziom może się wydawać, że na Kasprowym Wierchu zawsze jest bezpiecznie, a na pionowej ścianie zawsze niebezpiecznie. Tymczasem przy dobrych warunkach i odpowiednim poziomie sportowym działalność na trudnej ścianie może być relatywnie bezpieczna. Każda góra stawia inne wyzwania. Everest był trudny, bo pojechaliśmy jesienią, bez innych ekip, więc cała praca spadła na nasz zespół. Musieliśmy być samodzielni. Na Nanga Parbat wyzwaniem był zjazd drogą Messnera, której od lat siedemdziesiątych nie powtórzono. Ja pokonywałem ją na nartach. To lodowcowa, skomplikowana ściana, prawie cztery kilometry w pionie. Trzeba ją poznać, zrozumieć i na tyle, na ile to możliwe, wykluczyć zagrożenia. Na K2 z kolei powstała właściwie nowa linia. Te ściany są tak wielkie, że wymagają całkowitego zaangażowania. Za każdym razem to warunki rozdają karty.

Na szczycie jest czas, by się zachwycić? Czy myśli pan tylko: „Muszę zjechać”?

Jest czas na zachwyt. Bez niego to wszystko pewnie nie miałoby sensu. To przecież nie jest pójście na siłownię. Musi istnieć coś, co przykrywa wszystkie niedogodności. Wręcz trzeba zaprzyjaźnić się z przyrodą, zrozumieć ją, zbliżyć się do niej, umieć odnajdywać momenty, w których działanie staje się możliwe. To bezpośrednie połączenie z naturą jest jednym z największych walorów tego, co robimy. Ważny jest też spokój. W górach go odnajduję.

Człowiek, któremu w głowie bez przerwy gra radio, byłby w stanie znaleźć się w takiej sytuacji i przeżyć?

Nie wiem. Ja raczej jestem spokojny i w trudnych momentach nie panikuję. Odpala mi się naturalny mechanizm i od razu przechodzę do działania. Ten spokój mi pomaga. Nie boję się ciszy ani działania w pojedynkę.

Pamięta pan pierwszą myśl po bezpiecznym zjeździe z Nanga Parbat?

Po kilku tygodniach wyprawy człowiek chce wrócić do domu. Tęskni za rodziną i normalnym życiem, za tym, żeby zobaczyć najbliższych, zjeść coś zwyczajnego, wyspać się we własnym łóżku. Surowe miejsca uświadamiają mi wartość tego, co mamy tutaj. Po wyprawie bardziej doceniam proste rzeczy.

Za jakim jedzeniem pan tęskni?

W Zakopanem, pod Nosalem, jest restauracja U Ryśka. Mają tradycyjne polskie jedzenie, na przykład przepyszne schabowe. Zawsze mam ochotę na takie proste rzeczy. Wracając z lotniska, jedziemy też do rodzinnego domu w Łętowni, bo leży po drodze między Krakowem a Zakopanem.

Był pan dziewiątym z jedenaściorga dzieci. Jakim pan był dzieckiem?

Szukałem własnej przestrzeni i sport był właśnie taką przestrzenią tylko moją. Dobrze się czułem, trenując, biegając, jeżdżąc na nartach. Byłem aktywny, ale też niełatwy. Zawsze robiłem wszystko pod prąd. Pewnie dlatego zajmuję się tym, czym się zajmuję, bo gdybym podchodził do wszystkiego racjonalnie, nic z tego, co zrobiłem, by się nie wydarzyło. Byłem też wrażliwy i zawsze starałem się być pomocny. Środowisko, w którym dorastałem, duża rodzina i to, że w życiu bywało trudno, nauczyły mnie dzielić się swoim szczęściem. To ważna wartość.

W domu częściej słyszał pan: „Uważaj” czy „Idź, poradzisz sobie”?

Było nas tak dużo, że rodzice starali się eliminować wszystko, co mogło oznaczać zagrożenie albo kłopoty. Nie mieli też dla nas zbyt wiele czasu, więc trochę wychowywaliśmy się sami. O sport nie pytałem. Kiedy pojawiała się możliwość, po prostu to robiłem. Sportu nie traktowało się u nas w domu poważnie. Rodzice pchali nas raczej w stronę rzeczy racjonalnych, które pozwolą się utrzymać i bezpiecznie żyć. To, czym dzisiaj się zajmuję, z ich ówczesnego punktu widzenia było irracjonalne. Każde z nas musiało walczyć o swoje, bo rodzice bali się ryzyka i tego, czego nie znali.

Jakie było pana dzieciństwo w Łętowni?

Zawsze były zwierzęta. Wypasaliśmy krowy, graliśmy w karty, chodziliśmy na grzyby. Kiedy miałem parę lat, chodziłem na nie sam. Zbierałem tylko te z gąbką, nie z blaszkami, bo te zawsze były do wyrzucenia. Sami organizowaliśmy sobie czas. Praca była priorytetem, obowiązki trzeba było wykonać, bo nikt nie mógł zrobić ich za nas. Ale to było naturalne i harmonijne, połączone z przygodą. Życie miało swoje powtarzalne cykle. Dzisiaj wszystko pędzi, bez przerwy musimy decydować i działać pod presją. Dlatego lubiłem wracać na wieś, do miejsca, w którym nic się nie zmieniało. Do pewnego momentu mój operator telefoniczny nie miał tam nawet zasięgu.
W domu zawsze panował kult pracy. Kiedy wróciłem po udanym zjeździe z K2, o którym mówiły media na całym świecie, tata zapytał, czy skończyłem już tę wycieczkę, bo jest dużo roboty i potrzebuje pomocy. Prosto z lotniska pojechaliśmy na pole zbierać słomę. To jest fajne: możesz wrócić do domu i nie ma znaczenia, że czegoś dokonałeś. Nadal jesteś tą samą osobą. Lubię to, bo na koniec robimy różne rzeczy, ale pozostajemy tymi samymi ludźmi.

Pierwsze narty zdobył pan jako dziesięciolatek. Oddał za nie paletki do ping-ponga i scyzoryk. Co zobaczył pan w tych długich, drewnianych deskach?

Chciałem jeździć z kolegami, którzy mieli narty, a ja biegałem za nimi z sankami. W pewnym momencie poczułem, że muszę sobie zorganizować sprzęt. To były stare narty skokowe, miały chyba dwa i pół metra. Przyciąłem je ręczną piłą do drewna i przestawiłem wiązania. Buty, które zdobyłem, miały rozmiar 45 albo 46, a byłem małym dzieciakiem.

Ale to nie miało znaczenia. Nie interesowało nas, czy coś jest odpowiednie, modne, najnowsze. Liczyło się, że możemy to robić. Nie porównywaliśmy się. To była czysta, naturalna i autentyczna radość.

Jako dzieci budowaliście skocznie i szukaliście własnych tras. Zjazdy z ośmiotysięczników są kontynuacją tamtych zabaw?

W pewnym sensie wróciłem do korzeni, zajmując się skialpinizmem. Wtedy nie wiedziałem, że tak się to nazywa. Nosiliśmy narty, bo nie mieliśmy infrastruktury. Robiliśmy wszystko w analogowym stylu. Właśnie wtedy zaraziłem się pasją. Z dzisiejszej perspektywy

eprasa.pl 7d64821c2a

tamten okres okazał się bardzo ważny.

Kto pierwszy zrozumiał, że to nie jest dziecięca fanaberia?

Mój brat Grzegorz pokazał mi ten sport. Jest ratownikiem i przewodnikiem. Miałem dużo szczęścia, bo dzięki niemu dorastałem w środowisku górskim, wśród ratowników, mogłem się od nich uczyć i od razu wejść na wysoki poziom.

Kiedy pomyślał pan po raz pierwszy: „Naprawdę jestem w tym dobry"?

Kiedy jako dzieciak wygrałem z seniorami. Jako młodzik zgodnie z przepisami nie mogłem wystartować, ale stanąłem obok nich i po prostu to zrobiłem. Wygrałem. Drugim takim momentem było pierwsze podium Pucharu Świata. Poczułem wtedy, że jestem bardzo blisko czołówki.

A kiedy pojawiła się myśl, żeby zjechać na nartach z ośmiotysięcznika?

Kiedy miałem siedemnaście, osiemnaście lat i startowałem w zawodach. Myślałem, że po zakończeniu kariery zawodniczej wykorzystam swój potencjał w górach wysokich, bo wydawało mi się to możliwe. Niestety, karierę skończyłem za wcześnie.

Dlaczego niestety?

Byłem bardzo młody i mogłem się ścigać z najlepszymi, ale nie miałem możliwości finansowania startów. Przyszedł kryzys gospodarczy w 2007 roku. Wcześniej, po lawinie w 2006 roku, odsunęła się też perspektywa włączenia tej dyscypliny do programu olimpijskiego. Wszystko się posypało. Dlatego szybciej pojawiłem się w górach wysokich, choć to rywalizacja sportowa była wtedy dla mnie priorytetem i czułem, że mam w niej jeszcze dużo do zrobienia.

Samo wejście na szczyt panu nie wystarcza?

Można by równie dobrze zapytać o sens uprawiania narciarstwa. Narty są najbardziej efektywną i przyjazną formą przemieszczania się po śniegu w górach. Po co schodzić z góry, z której można zjechać? Zjazd jest przyjemniejszy.

Zwykły człowiek widzi przepaść, szczeliny i chaos. Pan mówi o „logicznej linii zjazdu". Co to znaczy?

Chodzi o znalezienie drogi pozwalającej płynnie zjechać ze szczytu do bazy, bez odpinania nart, podchodzenia, schodzenia po skałach czy zjazdów na linie. Czasem taka możliwość istnieje, ale jej znalezienie wymaga ogromnego wysiłku, eksplorowania i poruszania się w dzikim terenie. Rozwiązujesz problem i masz samodzielność w górskim działaniu.

Nanga Parbat nazywano „górą zabójcą". Poznał pan historie ludzi, którzy z niej nie wrócili, czy wolał je od siebie odsuwać?

Znam historię eksploracji miejsc, do których jadę. Przygotowując się, próbuję zrozumieć zagrożenia, które występują tam najczęściej. Każdy wypadek niesie naukę i wnioski, które trzeba uwzględnić we własnym planie. Warto też pamiętać, że ludzie przed nami dokonywali rzeczy przełomowych jak na swoje czasy. Nie lubię jednak etykiet, takich jak „Killer Mountain", które mają od razu wzbudzać lęk. Odsuwam legendę i próbuję na własny sposób zaprzyjaźnić się z miejscem: zrozumieć je i poznać. Nie chcę nastawiać się negatywnie pod wpływem literatury, filmów czy opowieści o wypadkach.

Co decyduje o wyborze kolejnej góry: ambicja, ciekawość, estetyka linii czy pragnienie zrobienia czegoś jako pierwszy?

Przede wszystkim inspiracja. Pewne rzeczy dostrzega się przy okazji innych wypraw. To, że nikt wcześniej czegoś nie zrobił, bywa ciekawe, bo trzeba wymyślić, jak rozwiązać problem. Nie chodzi mi jednak o zapisanie się w historii. Satysfakcję daje rozłożenie problemu na czynniki pierwsze i praca nad nim na wielu płaszczyznach. Jestem w górach od wielu lat i czuję, że potrafię to robić.

Po dokonaniu rzeczy niemożliwej czuje pan spełnienie czy natychmiast pojawia się brak i kolejne wyzwanie?

Przede wszystkim lubię być w górach. Z czasem poziom trudności tego, co robię, pewnie będzie spadał. Moje wyprawy staną się bardziej przyjazne, turystyczne i przygodowe. Jestem z tym pogodzony. Nie wyobrażam sobie jednak całkowitej rezygnacji, bo kocham przyrodę i góry.

Czego naprawdę boi się pan w górach?

Trzeba mieć duży dystans i pokorę, bo góry są niebezpieczne, a przyroda bywa surowa. Góry nie wiedzą, że jesteśmy fachowcami. Nie można dać się ponieść emocjom ani ambicji. Trzeba umieć zmienić plan, zrobić krok w tył i się wycofać. Zawsze możemy wrócić.

Mówił pan, że strach pojawia się w przestrzeni, której pan nie zna, albo kiedy nie wie pan, jak odpowiedzieć na zagrożenie. Co pan robi, gdy nie da się go kontrolować?

Trzeba mieć plan i narzędzia pozwalające go zmienić albo się wycofać. Nie można zakładać, że po prostu coś zrobimy, nie mając pomysłu na to, co będzie, jeśli sprawy pójdą źle. Żeby podjąć działanie, muszę dogłębnie zrozumieć sytuację i odpowiedzieć sobie na wiele pytań. Jeżeli nie mam takiego zrozumienia albo czuję, że jest zbyt niebezpiecznie i nie mam na to wpływu, odpuszczam.

Zdarza się panu udawać przed zespołem, że pan się nie boi?

Jestem osobą, która nie pokazuje emocji. Spokojnie analizuję sytuację, podejmuję decyzje i się ich nie boję. Może więc po mnie nie być widać, że czegoś się obawiam.

Którego słowa nie lubi pan bardziej: „bohater" czy „ryzykant"?

W odniesieniu do siebie nie lubię ani jednego, ani drugiego.

Co panu daje to, co pan robi?

W życiu potrzebne są emocje, bez nich byłoby nudno. Nie istnieje idealny plan ani lekarstwo na nieśmiertelność. Trzeba przeżywać i robić to, co się kocha. Bez tego życie miałoby inny smak, bylibyśmy innymi ludźmi, mielibyśmy inną energię i może mniej dawalibyśmy od siebie.

Co słychać na wysokości ośmiu tysięcy metrów?

Słychać wiatr, padający śnieg, pękające szczeliny, obrywające się seraki. Sporo się dzieje. Nie można założyć słuchawek i pójść pobiegać. Trzeba wsłuchać się w przyrodę, bo ona daje sygnały i ostrzega przed zagrożeniami. Te dźwięki są ważne, ale też niesamowite; pokazują, jak potężna i nieokiełznana jest natura.

Czego dowiedział się pan o sobie na szczycie, w absolutnej samotności, czego na dole nigdy by się pan nie dowiedział?

Ciągle uczę się cierpliwości. Nie jest tak, że wpadasz, robisz swoje i uciekasz. Musisz czekać na właściwy moment. Nauczyłem się też, że warto trzymać się swoich przekonań wbrew temu, co myślą inni. Konsekwencja może doprowadzić do wyjątkowych chwil. Trzeba szanować przygodę i dbać o to, by podczas naszych działań ingerencja w przyrodę była jak najmniejsza. Ważne jest też szanowanie ludzi i otwartość na nich. W górach poznałem mnóstwo fantastycznych osób, z którymi mam kontakt od wielu lat.

Ile z tego, co świat nazywa wyczynem Andrzeja Bargiela, należy również do pana brata, Bartka Bargiela?

Bartek jest bardzo ważnym elementem tej działalności. Stworzyliśmy model, który pozwala realizować zdjęcia i filmy bez podnoszenia fizycznego ryzyka ludzi. Dzięki temu ja mogłem uprawiać sport bez presji, że muszę coś zrobić ze względu na produkcję, a zarazem pokazywaliśmy miejsca, do których większość osób nigdy nie dotrze. Okazało się też, że drony podnoszą bezpieczeństwo: pomagają organizować akcje ratunkowe i transportować leki. Kiedy warunki są trudne i zagrożenie lawinowe uniemożliwia ludziom wyjście, technologia może pomagać bez narażania kolejnych osób. Kiedy zaczynaliśmy, były to nowatorskie rozwiązania. Dzisiaj nawet TOPR wykorzystuje drony przenoszące duże ładunki. Bartek niesamowicie rozwinął się też jako filmowiec i zajmuje się tym zawodowo.

Wystarczy jedno zdanie brata, żeby pan zawrócił?

Bartek nie ma takiego doświadczenia górskiego. Dron pozwala przyjrzeć się miejscu albo sprawdzić, gdzie znajdują się ludzie, gdy nie ma łączności. Rozwiązuje wiele problemów, bo poza utratą urządzenia nie ryzykujemy niczym. Nigdy jednak nie zdecydowałbym się na zjazd w terenie, którego nie znam, na który nie mam pomysłu i któremu wcześniej się nie przyjrzałem. Na obrazie nie widać wszystkich zagrożeń. Technologia podnosi bezpieczeństwo, ale nie podejmuje decyzji. Nie możemy oddać jej inicjatywy. Zdarza się, że zespół, obserwując obraz, pod wpływem stresu przekazuje mi wiele rad i ostrzeżeń, choć o nie nie proszę. Ja mam własny plan i z miejsca rozumiem sytuację inaczej. Powstaje zamieszanie, a ja potrzebuję spokoju. Nie jestem osobą, która dużo mówi. Odzywam się, kiedy czegoś potrzebuję.

Po powrocie potraficie być po prostu braćmi czy cały czas rozmawiacie o górach?

W ogóle nie rozmawiamy o górach. W rodzinie także o nich nie opowiadam. Po takich przedsięwzięciach mam przesyt i z przyjemnością zajmuję się czymś innym. Kiedy wracam do domu, chcę być otwarty na innych i ich słuchać. Teraz remontujemy dom, mamy dwoje małych dzieci, dużą rodzinę, więc cały czas coś się dzieje i komuś trzeba pomagać.

Jak pan odpoczywa?

Mamy chatkę w górach. Zajmuję się tam prostymi rzeczami, na przykład sadzę las. Interesuję się też motoryzacją i trochę muzyką.

Ojcostwo zmieniło pański stosunek do odwagi i ryzyka?

Zawsze dbałem o bezpieczeństwo i ceniłem swoje zdrowie oraz życie. Zmieniło się to, że chcę być częściej w domu. Rodzina odbiera pasji beztroskę. Nie można już wyjechać gdzieś na pół roku i niczym się nie przejmować. Staram się nie przesadzać z wyprawami, żeby nie odbywały się kosztem życia tutaj.

Po sukcesach na K2, Everéście i Nanga Parbat czuje pan presję, że Bargiel znowu powinien dokonać czegoś niemożliwego? Czuje ciężar własnej legendy?

Nie. Robię to, bo to lubię, nie po to, żeby komuś coś udowadniać. Dawno temu nabrałem dystansu do tych wszystkich rzeczy. Nie nakładam na siebie presji i nie pozwalam, żeby wpływała na moje decyzje. Dopóki czuję, że chcę to robić, robię to.

Po powrocie ma pan czas przeżyć to, co się wydarzyło, zanim zamieni się to w film, kampanię i artykuły?

Nie ma mnie zbyt wiele w mediach. O wyprawie informujemy dzień przed wyjazdem. Po powrocie jestem dostępny przez 2 dni, potem znikam. Staram się złapać dystans i dać sobie przestrzeń, spokój.

Myśli pan czasem, że niektórych pańskich zjazdów za kilka czy kilkanaście lat nie będzie już można powtórzyć? Dokumentuje pan świat, który znika?

Pewnie przyjdzie moment, kiedy pewnych rzeczy nie da się już zrobić. Mam nadzieję, że następne pokolenia nadal będą mogły jeździć, ale możliwości będą coraz bardziej ograniczone. Zmiany klimatu drastycznie wpływają na przestrzeń, w której uprawiamy narciarstwo. W Europie odczujemy to szczególnie. Widzę to w Łętowni, gdzie się wychowałem. Kiedyś jeździliśmy tam na nartach przez kilka miesięcy w roku. Dzisiaj śnieg utrzymuje się najwyżej przez dwa, trzy tygodnie. To powtarzalny fakt.

Co powiedział pan żonie po powrocie z Nanga Parbat?

Nie rozmawiamy za dużo o górach. Przeszliśmy do codziennych obowiązków i cieszyliśmy się, że wreszcie jesteśmy razem.

Skąd pan będzie wiedział, kiedy przestać?

Poziom trudności tego, co robię, będzie spadał i jestem z tym pogodzony. Mam nadzieję, że jak najdłużej będę mógł pozostać aktywny, choćby już tylko rekreacyjnie.

Po czym pan poznaje, że naprawdę żyje?

Po chwilach, kiedy mogę wyjść w góry i znaleźć się w wyjątkowym miejscu. Czuję wtedy, że jestem szczęśliwy i że mam szczęście, skoro dostałem takie możliwości. Ważne, żeby znajdować takie momenty dla siebie, choć jest to coraz trudniejsze, bo wszystko pędzi.

eprasa.pl 7d64821c2a

FILM

„Dekalog". Historie o ludzkich wyborach

To bez dwóch zdań ukoronowanie twórczości Krzysztofa Kieślowskiego. Każdy z dziesięciu filmów cyklu opowiada o zwykłych ludziach, którzy stają przed trudnymi wyborami moralnymi, życiowymi i rodzinnymi, a każda z historii nawiązuje do jednego z Dziesięciu Przykazań, ukazując je jednak w sposób nieoczywisty i osadzony we współczesnych realiach. W tym roku minie 37 lat od premiery pierwszego odcinka z serii „Dekalog"

Wojciech Obremski

Na pomysł „Dekalogu" wpadł Krzysztof Piesiewicz, prawnik, polityk i scenarzysta, a było to jeszcze w 1983 roku, w czasie stanu wojennego. Podczas przechadzki z reżyserem Krzysztofem Kieślowskim powiedział: – Słuchaj, jest chaos, ludzie są zagubieni, nie wiedzą, w jakim kierunku iść. Tylu wierzących, a i niewierzących zbiera się w kościołach, jedynej przestrzeni, gdzie mogą się gromadzić publicznie i czują się wolni. Trzeba zrobić „Dekalog" – opowiadał Piesiewicz na łamach magazynu „Film".

Początkowo Kieślowski podchodził do tego projektu z rezerwą. Jednak po nieprzychylnym przyjęciu filmu „Bez końca" (ukazującego Polskę w okresie stanu wojennego), zarówno przez władze komunistyczne, jak i środowiska związane z opozycją solidarnościową, reżyser ostatecznie zdecydował się przyjąć propozycję Piesiewicza. Wspólnie z nim napisał scenariusz, a potem stanął za kamerą.

FOT. MARY EVANS/ALL FILM ARCHIVE/NEW YORKER/EAST NEWS

„Dekalog" stał się jednym z najważniejszych dzieł w karierze Krzysztofa Kieślowskiego. Zwłaszcza „Krótki film o zabijaniu" zdobył bardzo duży rozgłos – także w Europie Zachodniej

Z własnych doświadczeń i wspomnień

– Po „Bez końca" chcieliśmy radykalnie zerwać ze wszystkim, co ma związek z polityką, i skoncentrować się w scenariuszach na indywidualnych, uwarunkowanych psychologicznie zachowaniach ludzkich. I to nie bez przyczyny. Mieliśmy dość połajanek (...). Wiedziałem, że po roku od zamordowania księdza Jerzego Popiełuszki nadszedł odpowiedni moment – wspominał reżyser w książce Krzysztofa Piesiewicza i Mikołaja Jazdona „Kieślowski. Od »Bez końca« do końca".

Początkowo Kieślowski wraz z Piesiewiczem zamierzał stworzyć jedynie scenariusz, który następnie zostałby przekazany dziesięciu początkującym reżyserom. Jeszcze na wczesnym etapie prac ustalili, że wszystkie historie będą rozgrywać się na jednym z warszawskich osiedli z wielopiętrowymi blokami.

Nad scenariuszem pracowali wspólnie w mieszkaniu Piesiewicza przy ulicy Klaudyny. Adwokat czerpał pomysły z własnych doświadczeń zawodowych, obserwacji, anegdot, wyobraźni, a także wspomnień z dzieciństwa. Kieślowski i Piesiewicz przedstawili te uniwersalne problemy w taki sposób, by mogły zainteresować każdego widza – niezależnie od jego światopoglądu, wiary czy przekonań religijnych.

Tajemniczy facet w czerni

Cykl trudno jednoznacznie określić mianem klasycznego serialu – poszczególne, trwające mniej więcej godzinę opowieści nie tworzą jednej, ciągłej fabuły, a w każdym odcinku poznajemy innych bohaterów i ich problemy. Łączy je jednak miejsce akcji – wspomniane ogromne osiedle mieszkaniowe, pełne niemal identycznych bloków i niewielkich mieszkań. To właśnie w tych przestrzeniach rozgrywają się zarówno codzienne, pozornie błahe sytuacje, jak i poważne ludzkie dramaty.

Kieślowski unikał bezpośredniego pouczania i oceniania swoich bohaterów. Zamiast tego przedstawiał ich w trudnych sytuacjach, w których każda podjęta decyzja wiązała się z określonymi konsekwencjami. Ukazywał codzienne problemy i dramaty zwykłych ludzi – nauczyciela, lekarza czy dziecka – pozostawiając widzowi możliwość samodzielnej oceny ich postępowania.

Jednym z najbardziej charakterystycznych motywów „Dekalogu" jest tajemnicza postać grana przez Artura Barcisia, pojawiająca się znienacka w różnych wcieleniach – rowerzysty, motorniczego tramwaju, studenta na wykładzie czy robotnika. Mężczyzna jawi się jako obserwator wydarzeń, przyglądający się decyzjom i działaniom głównych bohaterów. Są oni często postawieni w sytuacjach, w których przekraczają moralne granice wyznaczone przez Dziesięć Przykazań i muszą zmierzyć się z konsekwencjami swoich wyborów.

Pomysł tej postaci podsunął pisarz i publicysta Witold Zalewski, który opowiedział Kieślowskiemu historię związaną z Wilhelmem Machem, prozaikiem, eseistą i krytykiem literackim. Mach, po obejrzeniu jednego z filmów, miał stwierdzić, że najbardziej zapadła mu w pamięć scena pogrzebu, w której, gdzieś w tle, zauważył mężczyznę ubranego w czarny garnitur. Co ciekawe, pozostali widzowie nie dostrzegli tej postaci. Historia ta zainspirowała Kieślowskiego do stworzenia bohatera, który pojawia się w różnych momentach „Dekalogu", pozostając niemal niezauważony przez innych.

A może również w kinach?

Prace nad scenariuszem trwały ponad rok. Jesienią 1986 roku gotowe teksty dziesięciu odcinków trafiły do Telewizji Polskiej, gdzie spotkały się w większości z pozytywnym odbiorem decydentów.

W styczniu 1987 roku Janusz Roszkowski, prezes Telewizji Polskiej i przewodniczący Komitetu do spraw Radia i Telewizji, wyraził zgodę na rozpoczęcie realizacji „Dekalogu". Twórcy dowiedzieli się jednak, że z powodu trudnej sytuacji telewizja jest w stanie dofinansować jedynie osiem z planowanych dziesięciu filmów.

Krzysztof Zanussi, dyrektor artystyczny Zespołu Filmowego „Tor", który miał cykl wyprodukować, zaproponował, aby część odcinków zrealizować w dwóch wersjach – telewizyjnej i kinowej. Filmy przeznaczone do dystrybucji kinowej miały trafić również za granicę, co mogłoby przyciągnąć zagranicznych inwestorów i pomóc w zdobyciu dodatkowych środków na produkcję całej serii.

Ostatecznie udało się uzyskać środki na powstanie dwóch obrazów: „Krótkiego filmu o zabijaniu" oraz „Krótkiego filmu o miłości" (były to nieco dłuższe wersje odpowiednio „Dekalogu V" oraz „Dekalogu VI", które weszły na ekrany kin w 1988 roku).

Międzynarodowe uznanie

W końcu Kieślowski podjął decyzję, że sam wyreżyseruje wszystkie dziesięć części „Dekalogu", jednak przy realizacji poszczególnych odcinków współpracował z różnymi operatorami. „Dekalog I" telewizja wyemitowała w grudniu 1989 roku, zaś na kolejne części przyszło czekać widzom do maja roku następnego.

Tworzenie całego cyklu odbywało się w trudnych i wymagających warunkach. Kieślowski poświęcał na pracę nad zdjęciami i montażem „Dekalogu" nawet 13–14 godzin dziennie. Tymczasem środki przeznaczone na produkcję zaczynały się wyczerpywać. Krzysztof Zanussi udał się więc do Europy Zachodniej w poszukiwaniu dodatkowego źródła finansowania, jednak kolejne osoby i instytucje, w tym mediolańska wytwórnia Sao Paolo, nie zdecydowały się wesprzeć projektu.

Ostatecznie pomoc finansową zaoferował berliński producent Manfred Durmiok z wytwórni Sender Freies. Dzięki jego wsparciu możliwe było ukończenie wszystkich dziesięciu części „Dekalogu". Całkowity budżet cyklu szacowano na około 100 tysięcy dolarów.

Muzykę do „Dekalogu" skomponował Zbigniew Preisner. Ścieżka dźwiękowa po raz pierwszy została wydana w 1991 roku we Francji pod tytułem „Les Dix Commandements. Le Décalogue". Rok później album ukazał się również w Polsce nakładem Kompanii Muzycznej Pomaton, tym razem jako „Dekalog. Muzyka filmowa". Płyta doczekała się także kolejnych wydań i wznowień, między innymi we Francji i Wielkiej Brytanii, gdzie cykl cieszył się ogromną popularnością. We wrześniu 1989 roku cykl był prezentowany w kinach poza konkursem głównym na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji, gdzie spotkał się z wielkim uznaniem.

I nic dziwnego: „Dekalog" to nie tylko znakomity scenariusz, reżyseria i muzyka, ale i aktorstwo – na ekranie widzimy kwiat polskich wykonawców, zaś wśród najważniejszych można wymienić: Krystynę Jandę, Janusza Gajosa, Jerzego Stuhra, Zbigniewa Zamachowskiego, Bogusława Lindę, Daniela Olbrychskiego i wielu innych.

„Dekalog" stał się jednym z najważniejszych dzieł w karierze Krzysztofa Kieślowskiego. Sukces jego oryginalnego spojrzenia na temat Dziesięciu Przykazań umocnił pozycję reżysera na arenie międzynarodowej, szczególnie w Europie Zachodniej. Pokazom kinowym cyklu często towarzyszyły również retrospektywy wcześniejszych filmów Kieślowskiego, co dodatkowo przyczyniło się do wzrostu zainteresowania jego twórczością.

„Dekalog" nie mówi widzowi wprost, kto ma rację – skłania go raczej do samodzielnego zastanowienia się, co jest dobre, a co złe. To właśnie otwartość na różne interpretacje sprawia, że cykl pozostaje aktualny i poruszający mimo upływu lat.

eprasa.pl 7d64821c2a

PRAWO I OBYCZAJE

Rolnik orze tam, gdzie (nie) może. I trafia na trzy miesiące do aresztu

Ostropa przywykła do ciszy, spokoju i sąsiedzkich sporów, które zwykle nie wychodzą poza dzielnicę. Kiedy Józef M. zniszczył położony tam przez miasto asfalt, już cicho tu nie jest. Okazuje się, że spór trwa od dawna

Julia Muc

Ostropa to dzielnica Gliwic. Łatwo tu jednak zapomnieć, że wciąż znajdujemy się w jednym z największych miast województwa śląskiego. Pola dochodzą tu niemal pod zabudowania, między domami wciąż widać ślady dawnej wsi, a nad okolicą górują kościoły. Dopiero w 1975 roku została w całości włączona do Gliwic. I choć od tego czasu minęło ponad półwieku, wiejski charakter dzielnicy nie zniknął. Rolnictwo nie jest tutaj wspomnieniem, tylko częścią codzienności.

FOT. MARZENA BUGAŁA-ASTASZOW

Droga przeorana przez ciągnik ma zostać naprawiona

Ursusem po asfalcie

Kilkanaście dni temu, dokładnie 7 sierpnia, 60-letni rolnik, Józef M. wjechał Ursusem na świeżo wykonaną nawierzchnię ulicy Rybackiej, opuścił pług i przeorał około 200 metrów drogi razem z jej podbudową. Dalsze niszczenie asfaltu zatrzymali pracownicy budowy, blokując ciągnik ciężkim sprzętem. Józef M. od początku przekonywał, że nie niszczy cudzej własności. Twierdził, że grunt należy do niego. Miasto odpowiada jednoznacznie: nie należy. I właśnie ten spór sprawił, że historia przestała być wyłącznie o człowieku, który wjechał pługiem na nowy asfalt, bo miał taką fantazję.

Kilka dni później ślady po pługu nadal wyznaczają miejsce, od którego zaczęło się całe zamieszanie. W internecie dyskusja szybko podzieliła komentujących. Dla jednych sprawa jest oczywista: zniszczona została miejska inwestycja, sprawca powinien ponieść konsekwencje. Inni zaczęli szukać drugiego dna. Pojawiły się archiwalne zdjęcia, mapy działek i pytania o to, czy asfalt rzeczywiście znalazł się na gruncie należącym do miasta.

Sąsiedzi mają wątpliwości

W Ostropie ten spór nie wywołuje jednak aż tak jednoznacznych reakcji. Jedna z mieszkanek, Dagmara Malinowska, Józefa M. zna z widzenia.

– Kiedy mijamy się gdzieś na drodze, mówimy sobie „dzień dobry" i właściwie na tym nasz kontakt się kończy – mówi . O ocenę tego, co zrobił, nie jest jej łatwo. – Kiedy zamieszkałam tutaj 25 lat temu, ten konflikt z miastem już istniał. Z tego co wiem, od początku dotyczył tej działki, którą ten pan nadal uważa za swoją.

Szczegółowej genezy konfliktu nie zna. Podobnie jak inni mieszkańcy. W lokalnych rozmowach od dawna pojawia się jednak temat działki, granice i przekonania rolnika, że droga „wkroczyła" na teren, do którego on ma prawa.

Inna z mieszkanek dzielnicy zwraca uwagę, że problemy z przebiegiem granic nieruchomości nie są w tej części Gliwic czymś nowym.

– W tej okolicy podobnych historii związanych z granicami działek jest więcej. My sami jesteśmy w sporze z gminą o zasiedzenie fragmentu nieruchomości. Przez lata płoty i granice działek nie zawsze odpowiadały temu, co wynikało z dokumentów, dlatego do dziś zdarzają się tutaj różne niejasności – mówi. Jej zdaniem, bez poznania dokumentów obu stron trudno ferować wyroki tylko na podstawie tego, co można zobaczyć w terenie.

– Żeby jednoznacznie ocenić, kto w tym sporze ma rację, należałoby zobaczyć pełną dokumentację obu stron. Bez dokładnych map, zapisów w księgach wieczystych i dokumentów dotyczących podziału działek trudno wyciągać wnioski – zaznacza.

To ważne zastrzeżenie, bo właśnie dokumenty stały się najważniejszym elementem drugiego aktu tej historii.

Zarząd Dróg Miejskich w Gliwicach zdecydował się opublikować specjalne oświadczenie dotyczące własności gruntu. Miasto przekonuje, że sytuacja prawna działek nie pozostawia wątpliwości. Według ZDM gmina Gliwice jest właścicielem spornego terenu od 25 lat, a stan ten ma być potwierdzony wpisami w księdze wieczystej. Nieruchomość miała przejść na własność gminy w 2001 roku z mocy prawa, w następstwie podziału dokonanego na wniosek ówczesnego właściciela, zgodnie z art. 98 ustawy o gospodarce nieruchomościami. – Należy podkreślić, że wnioskującym o podział dwóch działek i wydzielenie gruntów przeznaczonych pod drogę był ten sam rolnik, który kilka dni temu zakwestionował prawo gminy do tego terenu i zaorał fragment świeżo wykonanej nawierzchni – poinformował Zarząd Dróg Miejskich w Gliwicach.

Według miasta, pojawiające się w internecie zdjęcia i mapy nie dowodzą, do kogo należy grunt.

– Ortofotomapy pokazują jedynie faktyczny sposób użytkowania terenu w dniu wykonania zdjęć. W przypadku działek nr 803 i 804 w Ostropie nie odzwierciedlają więc stanu prawnego gruntu. Pas gruntu należący do gminy jest szerszy niż teren faktycznie zajęty pod drogę – wyjaśnił ZDM. To stanowisko miasta. Rolnik, jak wynika z informacji przekazywanych przez służby po jego zatrzymaniu, nadal utrzymuje, że miał prawo do gruntu.

„Przyzwyczailiśmy się, że tej drogi może już nie być"

Asfaltowanie ulicy Rybackiej nie była inwestycją, która pojawiła się nagle i bez znaczenia dla okolicy. Mieszkańcy mówią, że na poprawę jej stanu czekali sporo czasu. – Na tę drogę czekaliśmy naprawdę długo. Kiedy w końcu rozpoczęły się prace, byliśmy wręcz zaskoczeni, bo zdążyliśmy się już przyzwyczaić do myśli, że być może ten remont nigdy nie dojdzie do skutku – opowiada Dagmara Malinowska.

Jak relacjonuje, roboty drogowe trwały od końca lipca. W tym czasie nie zauważyła żadnych prób ich blokowania. – Prace trwały tutaj od końca lipca i wcześniej nie dochodziło do żadnych podobnych incydentów. Sytuacja zmieniła się dopiero w momencie, gdy na drodze pojawiła się świeża warstwa asfaltu .

Dla części mieszkańców samo poszerzenie i wyremontowanie drogi jest po prostu rozwiązaniem praktycznym.

– Szersza i bezpieczniejsza droga służy wszystkim mieszkańcom, a nie tylko jednej osobie. Ja sama nigdy nie zdecydowałabym się na taki krok. W takich sytuacjach trzeba przede wszystkim zachować rozsądek i pamiętać, że żyjemy obok siebie – powiedziała nam inna mieszkanka Ostropy. Ale nawet ci, którzy chcieli remontu, dostrzegają drugą stronę zmiany. Nowy asfalt oznacza wygodniejszy dojazd, lecz może też przynieść coś, czego w Ostropie dotychczas było mniej: szybszy ruch. – Cieszymy się, że droga w końcu powstaje, ale z drugiej strony pojawia się obawa, że kierowcy zaczną jeździć tędy znacznie szybciej. To spokojna okolica i chcielibyśmy, żeby taka pozostała – mówi pani Dagmara. Bo kiedy pyta się mieszkańców, jak żyje się w tej części Gliwic, odpowiedź pada natychmiast.

– Dobrze. Spokojnie. I właśnie za tę ciszę najbardziej lubimy Ostropę.

Przez ostatnie dni spokojna na co dzień Ostropa znalazła się w centrum zainteresowania całej Polski. Nie wszyscy mieszkańcy dobrze znoszą nagły rozgłos i kolejne pytania o sprawę rolnika.

– Mam już dosyć tego medialnego przedstawienia – mówi z przekąsem jeden z mieszkańców. Bo dla mieszkańców dzielnicy to nie groteskowa internetowa historia z filmem przedstawiającym Ursusa jadącego po asfalcie. To spór między człowiekiem, którego mijali od lat, a miastem, w którym mieszkają.

Spór, którego konsekwencje poniosą również wtedy, gdy zainteresowanie tematem reszty Polski osłabnie. O ile dla Ostropy cała sprawa oznacza przede wszystkim niechciany rozgłos, o tyle dla 60-letniego rolnika jej skutki są już bardzo poważne.

Sąd Rejonowy w Gliwicach zdecydował o jego tymczasowym aresztowaniu na trzy miesiące. Mężczyzna usłyszał prokuratorski zarzut zniszczenia mienia o znacznej wartości. Grozi mu od roku do 10 lat pozbawienia wolności. Według informacji przekazywanych po zatrzymaniu decyzja o wystąpieniu o areszt miała związek m.in. z obawą, że po ponownym wykonaniu nawierzchni może dojść do kolejnego zniszczenia drogi. W chwili zatrzymania 60-latek był trzeźwy. Jego ciągnik nie posiadał obowiązkowego ubezpieczenia OC i został odholowany na policyjny parking.

Zbyt surowy wyrok? Są wątpliwości

Decyzja o trzymiesięcznym areszcie również budzi wątpliwości. Mec. Łukasz Kowalski w komentarzu dla naszej gazety zwraca uwagę, że sąd sięgnął po najsurowszy ze środków zapobiegawczych, choć do dyspozycji miał także m.in. dozór, zakaz opuszczania kraju czy poręczenie majątkowe.

– Mam ogromne wątpliwości, czy w tej sprawie tymczasowy areszt był rzeczywiście konieczny. Mamy nagrania, świadków i ustalonego podejrzanego, dlatego trudno na podstawie dostępnych informacji dostrzec realną obawę matactwa czy ucieczki – ocenia mec. Łukasz Kowalski.

Prawnik zastrzega przy tym, że nie zna pełnego materiału dowodowego, którym dysponował sąd. Z informacji medialnych wynika, że pełnomocnictwem pana Józefa zajmuje się anonimowy adwokat ze Śląska, który zdecydował się nie pobierać honorarium. Tymczasem miasto chce możliwie szybko zakończyć drogowy rozdział całej historii. Zarząd Dróg Miejskich zapowiedział, że do usuwania szkód na ulicy Rybackiej zamierza przystąpić lada dzień. Wcześniej magistrat informował, że rozpoczęcie prac uzależnione jest od formalnej zgody policji i prokuratury.

Skorygowano także pierwsze informacje dotyczące wartości szkód. Początkowo pojawiała się kwota około 400 tys. zł. Jak później wyjaśniło miasto, była to wartość całej inwestycji drogowej, a nie wyłącznie zniszczeń dokonanych przez rolnika. Ponowne wykonanie zniszczonej nawierzchni i podbudowy ma kosztować do 300 tys. zł. Droga więc najprawdopodobniej zostanie naprawiona. Ślady pługa znikną pod kolejnymi warstwami podbudowy i asfaltu.

Znacznie trudniej będzie przykryć konflikt, który, według opowieści mieszkańców, istniał na długo przed tym, zanim w Ostropie pojawiły się ekipy budowlane.

eprasa.pl 7d64821c2a

HISTORIA

FOT. ZE ZBIORÓW TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ SZTUK PIĘKNYCH W KRAKOWIE.

Karol Estreicher odzyskał po wojnie „Damę z gronostajem", ale w Krakowie „profesor-chuligan" wciąż budzi kontrowersje

Na słynnym zdjęciu na tle towarowych wagonów jeszcze w wojskowym mundurze pozuje z „Damą z gronostajem", która za chwilę ruszy w powrotną drogę do Krakowa. Jest 1946 rok, Karol Estreicher także wróci do domu w nimbie rewindykatora zrabowanych dzieł. Jednak w Krakowie – mimo tych zasług – będzie nawet cztery dekady po śmierci postrzegany jako „profesor-chuligan" o piekielnym charakterze. – Chcieliśmy pokazać człowieka z tym wszystkim, co sprawiło, że przeszedł do historii i tym, za co do dziś Kraków ma z nim problem – mówi Artur Wójcik, autor książki poświęconej Karolowi Estreicherowi Jr.

Anna Piątkowska

Profesor-chuligan to określenie, które Karol Estreicher sam sobie ukuł?

Rzeczywiście, sam je wymyślił, ale świetnie się przyjęło w środowisku akademickim. Wiemy o tym, że tak o sobie mówił, z jednego z donosów do SB, w którym osoba składająca ten donos informuje, że Estreicher tak właśnie siebie nazywa. Był tak postrzegany z uwagi na swój nieprzewidywalny charakter.

Historyk sztuki, profesor uniwersytecki, jeden z Monuments Men, twórca Collegium Maius w takim kształcie, jaki dziś znamy – kim właściwie był Karol Estreicher?

Gdyby chcieć wymieniać, byłaby to długa litania. Najlepszym określeniem, które zawiera wszystko, czym się zajmował Estreicher, to dziecko Krakowa. Rodowity Krakowianin, całe życie związany z tym miastem. Tu czuł się najlepiej, z myślą o Krakowie podejmował swoje działania ochrony zabytków i ich rewindykacji. Mówi się, że Krakowianie nie lubią Warszawy, w jego przypadku niechęć do stolicy była ogromna – nienawidził Warszawy, doskonale dając temu wyraz w dziennikach.

Swojej miłości do miasta dał wielokrotnie wyraz, Kraków sporo zawdzięcza Estreicherowi.

Jest takie powiedzenie, że Kraków zawdzięcza swoją pozycję dwóm dynastiom: Jagiellonom i Estreicherom. Cała jego rodzina od końca XVIII wieku była bardzo mocno związana z miastem, to profesorowie, bibliografowie, których kontynuatorem był Karol Estreicher.

Ale mimo tych niewątpliwych zasług w Krakowie jest postrzegany jako postać co najmniej kontrowersyjna. Dlaczego?

Zasługi niby są znane, ale zawsze towarzyszył im cień w postaci czarnej legendy. Karol Estreicher nie żyje ponad 40 lat, ale niechęć do niego i niezrozumienie nadal trwają. Zaczynając pracę w Collegium Maius, zauważyłem, że o twórcy muzeum mówi się z pewnym zakłopotaniem. Taki gorący ziemniak – nie wiadomo, co z nim zrobić. Miał trudny charakter, zalazł za skórę wielu osobom i to jest niezwykle silna zadra. Proszę zauważyć, że jak na osobę o tak wielkich zasługach dla miasta jakoś specjalnie nie został w Krakowie upamiętniony. Oczywiście, jest Dziedziniec Huta Collegium Maius z popiersiem Estreichera, ale cały czas zamknięty. Dla mnie to symboliczne. Kraków niewątpliwie ma z nim problem. Czarna legenda to jego charakter, konflikty, które miał z wieloma osobami. Po drugiej stronie jest Collegium Maius, które stworzył i które dziś jest wizytówką Krakowa, odwiedzaną przez wszystkie ważne persony goszczące w mieście oraz cała działalność rewindykacyjna i społeczna na rzecz ratowania zabytków.

Barwna postać, jako bohater do opisania – wymarzony. Anegdotek zapewne nie brakowało?

Mnóstwo, zwłaszcza że on się w język nie gryzł. Klął jak szewc – podobno nauczył się tego od robotników podczas remontu Collegium Maius. Zarzucano mu, że nie dość, że miał samochód, to jeszcze sam go prowadził, a profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego powinien być wożony przez szofera. Miał za nic majestat profesorski. Bardzo nie lubił urzędników, mnóstwo anegdot o tym opowiada. Jak to raz w jednej z kamienic przy Rynku zauważył, że robotnicy rąbali zabytkowe okna, więc wyrwał im siekierę i – tu pojawiają się dwa zakończenia – w jednym poszedł do magistratu i wbił ją w biurko jednego z urzędników, w drugiej jeździł z nią po mieście. Innym razem, walcząc o to, by zachować Drukarnię Anczyca, klęczał ponoć przed urzędnikami błagając, by nie wyburzali budynku. Innym razem odmówił zamontowania piorunochronu na Pałacu Sztuki, którym kierował, komentując, że prędzej ten piorun huknie w d... urzędnikowi, niż w Pałac Sztuki stojący w otoczeniu Plant. Był nieprzewidywalny. Myślę, że gdybym spotkał dziś Estreichera, to albo byśmy poszli na wódkę, albo by się to spotkanie skończyło rękoczynami. Ale z drugiej strony był to człowiek z autorytetem, po wojnie wrócił do Krakowa owiany nimbem rewindykatora,

eprasa.pl 7d64821c2a

samo jego nazwisko otoczone było szacunkiem.

Collegium Maius jest dziś wizytówką miasta i miejscem, które uosabia wyobrażenie dawnej Akademii, ale Estreicherowi zarzucano, że to wytwór jego wyobraźni, że zamiast odremontować przebudował gruntownie.

Prawda jest taka, że skuł budynek do gołych ścian, ale też on jeden miał pomysł na to, jak będzie funkcjonował, kiedy po wojnie wrócił do uniwersytetu. A że spędził tu dzieciństwo, to każdy swój pomysł legitymizował wspomnieniami tego, jak było tu dawniej. Niewątpliwie jednak kształtował Collegium Maius zgodnie ze swoim pomysłem. Słynna dewiza uniwersytetu „Plus ratio quam vis" na portalu prowadzącym z Auli do Sali Kopernika jest cytatem zaczerpniętym z „Elegii" poety Maximianusa z VI wieku n.e., który mu po prostu pasował więc je w tym miejscu umieścił. Dzisiejsze Collegium Maius to jest jego kreacja, chciał, żeby muzeum uniwersytetu było miejscem żywym, nie gablotami pełnymi eksponatów, turystów traktował jak gości. Legendy krążą o tym, jak tworzył to miejsce, a to, że polewano posadzkę w Librarii burgundzkim winem, by ją postarzyć i nadać specyficznego aromatu, a to, że płyty na podłodze kazał układać drugą stroną, bardziej chropowatą, bo tak wyglądała na starą. Słynne schody, które dziś tworzą klimat Stuby Communis ściągnął z pałacu Potockich w Krzeszowicach, walcząc o to, by nie trafiły do Warszawy. W pokojach profesorskich stały ponoć wiaderka z odlanymi z gipsu kupami, by pokazać, że profesorowie to też ludzie. Ważny był dla niego ceremoniał, ale nie lubił tego napuszenia wiążącego się z byciem profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, choć sam przecież pochodził z profesorskiej rodziny. Trzeba przyznać, że świetnie sobie to miejsce wymyślił.

Wspominał pan o okropnym charakterze, ale być może to jego zasługą jest fakt, że w niezwykle trudnych dla kraju powojennych latach Estreicher zdobył środki finansowe na odbudowę Collegium Maius. Jak tego dopiął?

Przebudowa ciągnęła się 14 lat i pewnie trwałaby dłużej, gdyby nie decyzja, że budynek ma być gotowy na wielki jubileusz uniwersytetu w 1964 roku. I tak się stało. Oczywiście, pojawiło się mnóstwo teorii na temat tego długiego remontu, wszystkie obarczały jakąś winą Estreichera. Zachowała się romantyczna historia, jak to Estreicher błaga Cyrankiewicza, ówczesnego premiera, by dał pieniądze i wpisał budowę Collegium Maius w Plan 6-letni, powołując się na wojenną znajomość i pomoc konspiracyjną, jakiej udzieliła Cyrankiewiczowi, gdy trafił do Auschwitz, narzeczona i późniejsza żona Estreichera Teresa Lasocka. Prawda była prostsza, Estreicher i Cyrankiewicz znali się z czasów przedwojennych z Koła Pacyfistów UJ.

Miał trudny charakter, ale też miał zdolności organizacyjne. 14 lat trwania remontu w tamtych warunkach to wcale nie tak dużo. Choć i o tym krąży anegdota, że kiedy zdano sobie sprawę, że ten remont się ciągnie i ciągnie, i jest kosztowny, nikt nie miał odwagi powiedzieć Estreicherowi, że nie dostanie więcej pieniędzy. Z Warszawy przysłano urzędnika, który miał mu to zakomunikować, ale Estreicher ugościł go swoim słynnym winem. Kiedy już go spił, zadzwonił do Cyrankiewicza i uratował jakoś dalsze finansowanie.

FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM UJ

Collegium Maius kazał skuć do gołych ścian

Najsłynniejsze chyba zdjęcie Estreichera wykonano w 1946 roku w Norymberdze tuż przed załadunkiem najcenniejszych dzieł sztuki zrabowanych z Polski do wagonów, którymi wróciły tu. Jak w tej historii znalazł się Karol Estreicher?

Trzeba zacząć od 1939 roku, kiedy to Estreicher, widząc, jak kształtuje się się sytuacja międzynarodowa, zaangażował się w ewakuację rzeźb z kościoła Mariackiego – istniała wówczas obawa, że Kraków będzie bombardowany. Pod koniec sierpnia figury z ołtarza zostały ukryte w Sandomierzu. Z czasem sam Estreicher udał się na emigrację, znał się z generałem Sikorskim, z którym przyjaźnił się jego ojciec i to on znalazł mu w swoim otoczeniu zajęcie. A że był historykiem sztuki, Sikorski zaproponował mu, by zajął się rewindykacją zrabowanych z Polski dział sztuki – na tym etapie ustalaniem losów poszczególnych zabytków. Dzięki tej pracy Polska po zakończeniu działań wojennych miała listę ukradzionych dział sztuki i niejednokrotnie prześledzone ich wojenne losy – to był ewenement, m.in. dzięki pracy Estreichera. Jednak głównym punktem jego zainteresowania był w tamtym czasie ołtarz mariacki, za którego demontaż czuł się odpowiedzialny. Niemcy nigdy nie zbombardowali Krakowa, uważając go za swoje miasto, ale w 1939 roku nikt takiej wiedzy nie miał, a Estreicher czuł się odpowiedzialny osobiście za to, że zainicjował ukrycie ołtarza. Wiedział, że jeśli ten ołtarz nie wróci do Krakowa, Estreicherowie będą w mieście przeklęci na wieki.

Ołtarz wrócił. Także Estreicher wrócił do Polski jako wielki rewindykator, ale jest i czarna legenda.

Tak. Estreicher był chyba jedynym, który wrócił z tej wojny z tarczą. Jego życie wojenne to podręcznik opowiadający historię II wojny światowej. Mało znanym faktem jest, że to on zawiadomił żonę Sikorskiego o katastrofie gibraltalskiej. Mógł ułożyć sobie życie na Zachodzie, ale chciał wrócić do Polski, do Krakowa. Kiedy jednak w 1945 roku podjął rozmowy z komunistami, zawisł nad nim cień. Nigdy nie poniósł konsekwencji współpracy z rządem w Londynie, choć wiadomo, co spotkało innych, nie dostał wyroku, nie trafił do więzienia – przepustką do komunistycznej Polski był dla niego powrót do kraju ołtarza mariackiego. Gdyby nie on, „Dama z gronostajem" nigdy nie wróciłaby do Polski – do niedawna jeszcze przecież obraz był prywatną własnością rodziny Czartoryskich – podobnie jak ołtarz Wita Stwosza czy wawelskie arrasy. Kiedy wrócił z pierwszym transportem odzyskanych dzieł w 1946 roku, poszedł z Da Vincim i Rembrandtem do ówczesnego dyrektora Stanisława Gąsiorowskiego spodziewając się dziennikarzy, wielkiej fety, podobnej do tej w Norymberdze, gdy pakowano dzieła sztuki do wagonów i wykonano to wspomniane zdjęcie. Tymczasem w Krakowie zapytano go, po co to w ogóle przywiózł. Nie był jedynym, który odzyskiwał dzieła sztuki, ale był najważniejszą osobą w tym gronie, miał jako historyk sztuki i z czasów działalności londyńskiego Biura Rewindykacji przygotowanie merytoryczne i ogromną wiedzę. Później zwyczajnie próbował się odnaleźć w komunistycznej rzeczywistości, m.in. przez tę wspomnianą znajomość z Cyrankiewiczem, ale z drugiej strony podpisał „List 34" sprzeciwiający się cenzurze. Do dziś nie jest łatwą do rozszyfrowania postacią, ale moim zdaniem nieuprawnione są oskarżenia go o prosowieckie poglądy. W dziennikach pisał, że ten system potrwa kilkadziesiąt lat i on uczył się w nim funkcjonować tak, by mógł realizować własne cele.

Wielkie znaczenie miało dla niego dziedzictwo rodziny, a jednak nie zadbał o nie należycie.

Bardzo mocno był w latach 70. skonfliktowany z uniwersytetem. Obraził się, że w wieku 70 lat został przeniesiony na emeryturę, musiał odejść z Collegium Maius i za wiele innych spraw – realnych i wydumanych. W efekcie postanowił oddać tę spuściznę sięgającą XVIII wieku Towarzystwu Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie przez wiele lat pełnił funkcję prezesa. To był błąd, ponieważ UJ miałby narzędzia, by o to wszystko zadbać, TPSP wówczas nie miało takich możliwości. Przez wiele lat więc wszystko niszczało, m.in. jego dom na Sarnim Uroczysku.

Jak odbierany jest Karol Estreicher 40 lat po śmierci?

Są jeszcze ludzie, którzy go pamiętają i nikt nam nie odmówił rozmowy o nim. Jest raczej dobrze wspominany, choć wciąż jest ta czarna legenda. Czasem słyszałem takie komentarze podczas pracy nad książką, że teraz to się wyjaśni, co to on zrobił. Ale nie potwierdza się nic z tego, co mu zarzucano. Nie jest krystaliczną postacią, o wszystkich przewinieniach piszemy, nie ma w nich niczego, z czego nie dałoby się go wybronić. Choć wcale nie było naszym zamiarem wybielanie go.

Ja natomiast uważam, że trzeba po prostu przyjąć, że taki był. Chcieliśmy pokazać człowieka z tym wszystkim, co sprawiło, że przeszedł do historii i tym, za co do dziś Kraków ma z nim problem.

* * *

Karol Estreicher Jr. - polski historyk sztuki, encyklopedysta, prozaik, autor licznych publikacji, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, rewindykator zrabowanych dzieł sztuki. W latach 1945-1947 major Karol Estreicher był najskuteczniejszym polskim rewindykatorem zagrabionych skarbów kultury narodowej, rozproszonych na terenie byłej III Rzeszy Niemieckiej. W maju 1946 r. przywiózł do Krakowa pociągiem składającym się z 26 wagonów: Ołtarz Mariacki, obrazy Rembrandta, Canaletta i inne skarby kultury.

eprasa.pl 7d64821c2a

Niezbędnik czytelniczy

rekomenduje
Bożenna Piskała

Kto jako ostatni rozmawiał z Adrianną?

Odeta i Hubert świętują 10. rocznicę ślubu w ekskluzywnej restauracji. Nagle do lokalu wpada obca kobieta i urządza im awanturę. Odeta wkrótce odkrywa, że tajemnicza nieznajoma to Adrianna – była narzeczona Huberta. Nazajutrz Adrianna zostaje znaleziona martwa, a nagrania z restauracji obiegają internet.

Marcel Mos, „Narzeczona", wyd. Filia, Poznań 2026, cena 49,99 zł

W Londynie nie zaznasz spokoju

„Cienie nad Londynem" Agathy Christie to zbiór opowiadań kryminalnych rozgrywających się w Londynie, przeznaczony dla miłośników klasycznych zagadek, dobrze skonstruowanych intryg oraz kryminałów. Niebezpieczeństwo może bowiem czaić się za drzwiami zwyczajnego londyńskiego domu.

Agatha Christie, „Cienie nad Londynem", Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2026, cena 49,90 zł

Niełatwo być podcasterem bez skazy

Znany podcaster Łukasz Płonka budzi się we własnym mieszkaniu w Katowicach z gigantycznym kacem. A w sieci aż huczy o brutalnym zabójstwie innego podcastera, jego głównego konkurenta – Miłosza Majchrzaka. Sprawa wygląda o tyle nieciekawie, że Łukasz z Miłoszem ostatnio publicznie się pobili i to Płonka jest w gronie głównych podejrzanych.

Magdalena Majcher, „Podcaster", wyd. W.A.B., Warszawa 2026, cena 49,99 zł

To naprawdę złe miejsce na powrót

Czarnowo – niewielka wieś na Kaszubach. Pełen lasów i jezior raj dla osób pragnących wyrwać się z miasta choć na chwilę . Ola Nowak poprzysięgła sobie nigdy tu nie wracać. Tutaj ją skrzywdzono. Ludzie wykorzystujący władzę, układy gwarantujące bezkarność – to z tych powodów od lat nikt nie ma odwagi wypowiedzieć prawdy na głos.

Piotr Borlik, „Złe miejsce na powrót", wyd. Prószyński Media, Warszawa 2026, cena 49,99 zł

Nigdy nie obiecuj pod wpływem emocji!

Markus Heger, autor podcastu kryminalnego, spotyka byłego finansistę Terjego Wekre, który za zabójstwo żony został skazany na najsurowszą karę przewidzianą w norweskim prawie. Wekre twierdzi, że jest niewinny, a Markus zgadza się go wysłuchać. Robi to na prośbę ojca, Franka Drage, przebywającego w więzieniu, w celi obok Wekrego.

Jan-Erik Fjell, Horst Jorn Lier, „Cień wątpliwości", wyd. Smak Słowa, Sopot 2026, cena 57,99 zł

Jeden sen może zmienić wszystko

Maja marzyła tylko o spokoju. Po życiowych zakrętach i bolesnych przejściach w końcu zaczynała układać swoją codzienność na nowo. Aż do nocy, w której nawiedził ją koszmar tak realistyczny, że obudziła się z krzykiem. W swoim śnie widziała okrutne i brutalne morderstwo nieznajomej kobiety.

Piotr Kościelny, „Mara", wyd. Crime Books, cena 54,90 zł

HISTORIA

Atak „Błyskawicy" na niemiecki pociąg, którym do Lwowa jechał Hans Frank

Mateusz Drożdż

Czy generalny gubernator był rzeczywiście celem AK-owców? Uczestnik akcji pod Niepołomicami, por. Ryszard Nuszkiewicz, zaprzeczał. Mówił, że to zbieg okoliczności.

Fakty są takie, iż w sobotę w nocy z 29 na 30 stycznia 1944 roku żołnierze Okręgu Krakowskiego AK wysadzili tory obok wiaduktu nad polną drogą z Niepołomic do Brzezia w Puszczy Niepołomickiej. Miejsce akcji było oddalone o około 20 km od Dworca Głównego w Krakowie. Ładunki wybuchły tuż przed nadjeżdżającym pospiesznym pociągiem wojskowym do Lwowa, do którego doczepione były również salonki. Jadący pociągiem gubernator Hans Frank i szef bezpieczeństwa Generalnej Guberni SS-Obergruppenführer Wilhelm Koppe ocaleli.

Gubernator jechał na wschód

Dywersję na linii kolejowej Kraków – Lwów przeprowadził oddział „Błyskawica", dowodzony przez mjr. Stanisława Więckowskiego ps. „Wąsacz", który zgodnie z rozkazem miał wykoleić pociąg i zaatakować jego pasażerów – niemieckich żołnierzy wracających z urlopów na front. Poprosił dowództwo o przydzielenie silnych materiałów wybuchowych, granatów i rkm-ów. Partyzanci zdobyli jednak tylko trotyl, wyniesiony z kopalni soli w Wieliczce.

W odwecie za zamach na Franka (z lewej) Niemcy rozstrzelali w Podłężu i Dębicy około stu Polaków z więzienia na Montelupich w Krakowie

Partyzanci przygotowali zasadzkę o godz. 22.20. Zaledwie 25 minut później z Dworca Głównego w Krakowie wyjechał pociąg do Lwowa. Gubernatorowi Frankowi towarzyszyli współpracownicy oraz 25-osobowa ochrona osobista. Frank zmierzał na wschód, by następnego dnia wziąć udział w obchodach jedenastej rocznicy objęcia władzy w Niemczech przez Adolfa Hitlera i NSDAP, a także czwartej rocznicy objęcia przez siebie władzy w Generalnym Gubernatorstwie.

Hitlerowcy najedli się strachu

Partyzancka mina zadziałała bezbłędnie. Potężna eksplozja na nasypie kolejowym wyrzuciła w powietrze słup ognia, żwiru i kawałki torów, lecz wybuch nastąpił odrobinę za wcześnie. Pociąg jechał dość wolno, a maszynista zaczął gwałtownie hamować, co uratowało skład od katastrofy.

Partyzanci wycofali się bez strat, zaś osłona grupy minerskiej porozrzucała w lesie radzieckie ulotki propagandowe, by zrzucić winę na rosyjskich spadochroniarzy i uchronić miejscową ludność cywilną przed represjami.

Zamach niedaleko Grodkowic nie zadał Niemcom wielkich strat. Według raportów krakowskiej AK mieli 18 ciężko rannych (z których trzech zmarło) i 27 lżej rannych. Uszkodzeń doznały parowóz i wagony, a zniszczenie 60 metrów torów spowodowało opóźnienia .

Hitlerowscy oficjele, których wagony jechały na końcu składu, najedli się tylko strachu. Tym bardziej uzasadnionego, że 1 lutego warszawska AK zlikwidowała „kata Warszawy" SS-Brigadeführera Franza Kutscherę, a parę dni później Armia Czerwona zbliżyła się na 60 kilometrów do granic GG.

HISTORIA I OBYCZAJE

Czarniecki, jego buzdygan i buława

grab

W Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie znaleźć można m.in. buzdygan po Stefanie Czarnieckim. Nie ma jednak stuprocentowej pewności, czy faktycznie do niego należał.

Zwolennicy tezy, że to pamiątka po hetmanie, przypominają, że 1 stycznia 1807 r. na polach łowickich zorganizowano przysięgę nowo sformowanego wojska polskiego pod wodzą gen. Jana Henryka Dąbrowskiego.

Wódz mówił wówczas tak: „Ja tu przytomny, przed obliczem Boga zastępów, przed Bóstwem powstającej Ojczyzny mojej, przysięgam na tę buławę, którą niegdyś bohaterska dłoń Czarnieckiego dźwigała (...) iż posłuszny do zgonu rozkazom Wielkiego Napoleona o swobodę i całość Ojczyzny aż do przelania ostatniej kropli krwi mojej walczyć będę".

Krakowski buzdygan posiada aż siedemnaście gęsto ułożonych piór, które upodabniają go do buławy

Być może artefakt z Krakowa jest faktycznie buzdyganem Czarnieckiego, ale przecież Dąbrowski wyraźnie mówi o buławie. Powstaje pytanie: co się z nią stało? Buława, oznaka władzy hetmańskiej, jest ważniejsza od jakiegoś tam buzdyganu.

Historycy są na ogół zgodni, że przepadła w mroku dziejów, ale oto w listopadzie 2025 r., na stronie świętokrzyskiego wydania „Echa Dnia", znalazł się świeży trop, informacja o takiej oto treści: „360. rocznica śmierci Hetmana Stefana Czarnieckiego. Msza święta i rekonstrukcja przekazania buławy hetmańskiej w Czarncy". Faktycznie, w sobotę, 15 listopada, odbyła się pełna emocji uroczystość.

A zatem buława przetrwała? Otóż nie – jest jedynie współczesną materializacją marzeń historyków amatorów i popularyzatorów wzniosłości naszych dziejów. Wyobrażonych w pomnikach hetmana na licznych placach miast i miasteczek – od Czarncy po Tykocin.

Zaś w owej „rekonstrukcji przekazania hetmanskiej buławy" główną rolę odegrała buława zrekonstruowana.

eprasa.pl 7d64821c2a

DROBNE

Finanse biznes

KREDYTY, POŻYCZKI

KREDYT na dowód 781026833

Zdrowie

LABORATORIA

DR n.med. Maciej Świtoński- chirurg choroby jelita grubego, choroba hemoroidalna, 602298213, 60-229-82-13, 602-298-213, Bydgoszcz

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

MALOWANIE gładzie 530-056-990

MALOWANIE, kafelki, gładź 883964536

MONTAŻOWE

NAPRAWA okien, drzwi tel. 602720927

ROLETY ATRAKCYJNE CENY. Producent „GARDA" tel. 504166613

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1250zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

ŁEBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

USTKA- Wczasy! Pokoje! 604-486-413.

Matrymonialne

POZNAM Panią do 47 lat. Toruń Tel. 506-591-867

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

AUTOPROMOCJA

Kondolencje i nekrologi w Twojej gazecie

Tutaj zlecisz ogłoszenie

ibo.polskapress.pl

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.

Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

AUTOPROMOCJA 0011549445

Zleć nekrologi, ogłoszenia drobne, życzenia

Biuro ogłoszeń Expressu Bydgoskiego:
Bydgoszcz, czynne: pn.-pt. 8-16, ul. Zamoyskiego 2
tel. 519 503 513, e-mail: magdalena.welka@polskapress.pl

EXPRESS BYDGOSKI · GAZETA POMORSKA · NOWOŚCI

REKLAMA 0011561698

Zieleń Miejska
Zakład Pogrzebowy
UL. CZARTORYSKIEGO 13
24h / 7 - 52 324 99 99
WŁASNE KREMATORIUM

0011571409

„Dla nas żyłaś, dla nas się trudziłaś, dla nas poświęciłaś swoje życie"

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 19 sierpnia 2026 r. zasnęła w Bogu nasza Kochana Mama, Teściowa, Babcia, Prababci, Praprababcia i Ciocia

ś†p

Eugenia Bethke

Lat 94

Ceremonia pogrzebowa wraz z Mszą Św. odbędzie się 27 sierpnia 2026 r. (czwartek) o godzinie 12.45 (Różaniec 12.15) na cmentarzu parafialnym Serca Jezus przy ul. Ludwikowo w Bydgoszczy.

W smutku pogrążona

Rodzina

0011571065

Panu

Maciejowi Misiowi

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Syna

składają

Koleżanki i Koledzy z Polskiego Radia PiK

0011567629

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w dniu 11 sierpnia 2026 r. zmarła

ś†p

Danuta Borkowska

lat 94

Ceremonia pogrzebowa odprawiona zostanie w dniu 24 sierpnia 2026 r. (poniedziałek) o godzinie 10.00 w kaplicy na cmentarzu komunalnym przy ul. Kcyńskiej w Bydgoszczy.

Rodzina

REKLAMA 0011568592

Zgodnie z art. 38 i art. 40 ust. 1 pkt 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (tj. Dz.U. z 2026 r. poz. 399) oraz §3 ust. 1, §6 ust. 1 i 7 i §13 Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 14 września 2004 roku w sprawie sposobu i trybu przeprowadzania przetargów oraz rokowań na zbycie nieruchomości (Dz.U. z 2021 roku, poz. 2213)

STAROSTA WĄGROWIECKI

informuje,

iż w dniu 21.08.2026 r. na tablicy ogłoszeń w siedzibie Starostwa Powiatowego w Wągrowcu, na okres 2 miesięcy zostało wywieszone ogłoszenie o przetargu ustnym nieograniczonym na sprzedaż nieruchomości Skarbu Państwa, położonej w Wągrowcu, oznaczonej nr działki 2135/2 o pow. 0,6768 ha, zapisanej w księdze wieczystej KW numer PO1B/00025704/6. Ogłoszenie o przetargu zamieszczono również w Biuletynie Informacji Publicznej Starostwa Powiatowego w Wągrowcu. Cena wywoławcza została ustalona na kwotę 786.313, 00 zł (netto). Przetarg odbędzie się dnia 21.10.2026 r. o godzinie 10.00 w sali nr 110 w siedzibie Starostwa Powiatowego w Wągrowcu, przy ulicy Kościuszki 15. Warunkiem uczestnictwa w przetargu jest wpłata wadium w wysokości 78.683 zł. Informacji w sprawie przetargu udziela: Kierownik Wydziału Gospodarki Nieruchomościami Starostwa Powiatowego w Wągrowcu, ul. Kościuszki 15, pokój nr 6 (telefon: 67 26 80 545), nieruchomosci@wagrowiec.pl.

REKLAMA 0011569657

kwiaciarnia Fordońska

Florysta / Florystka

Jeżeli kwiaty są Twoją pasją to nasza kwiaciarnia jest miejscem dla Ciebie!

Wynagrodzenie: od 6 900 zł
brutto / mies. | umowa o pracę lub netto (+VAT) / mies. | kontrakt B2B

Kontakt: 535 487 522

- pełny etat
- praca stacjonarna
- pracownik fizyczny / pracowniczka fizyczna

Informacje dodatkowe:
- **Dni pracy:** dni robocze (poniedziałek - piątek), sobota
- **Godziny pracy:** elastyczny grafik
- **Tryb wypłaty:** miesięczna
- **System wynagrodzeń:** stała podstawa wynagrodzenia + premia za wyniki

Wymagania:
- Doświadczenie i umiejętność wykonania wieńców
- Kreatywne myślenie
- Zaangażowanie

Zakres obowiązków:
- Wykonanie wiązanek i wieńców pogrzebowych
- Przyjęcia dostaw
- Dbanie o kwiaty
- Obsługa klienta
- Utrzymanie porządku

Oferujemy:
- Pracę w prężnie działającej kwiaciarni w Fordonie
- Możliwości rozwoju
- Uczciwe wynagrodzenie

Benefity:
- Dofinansowanie szkoleń i kursów
- Ubezpieczenie na życie
- Elastyczny czas pracy
- Zniżki na firmowe produkty i usługi

eprasa.pl 7d64821c2a

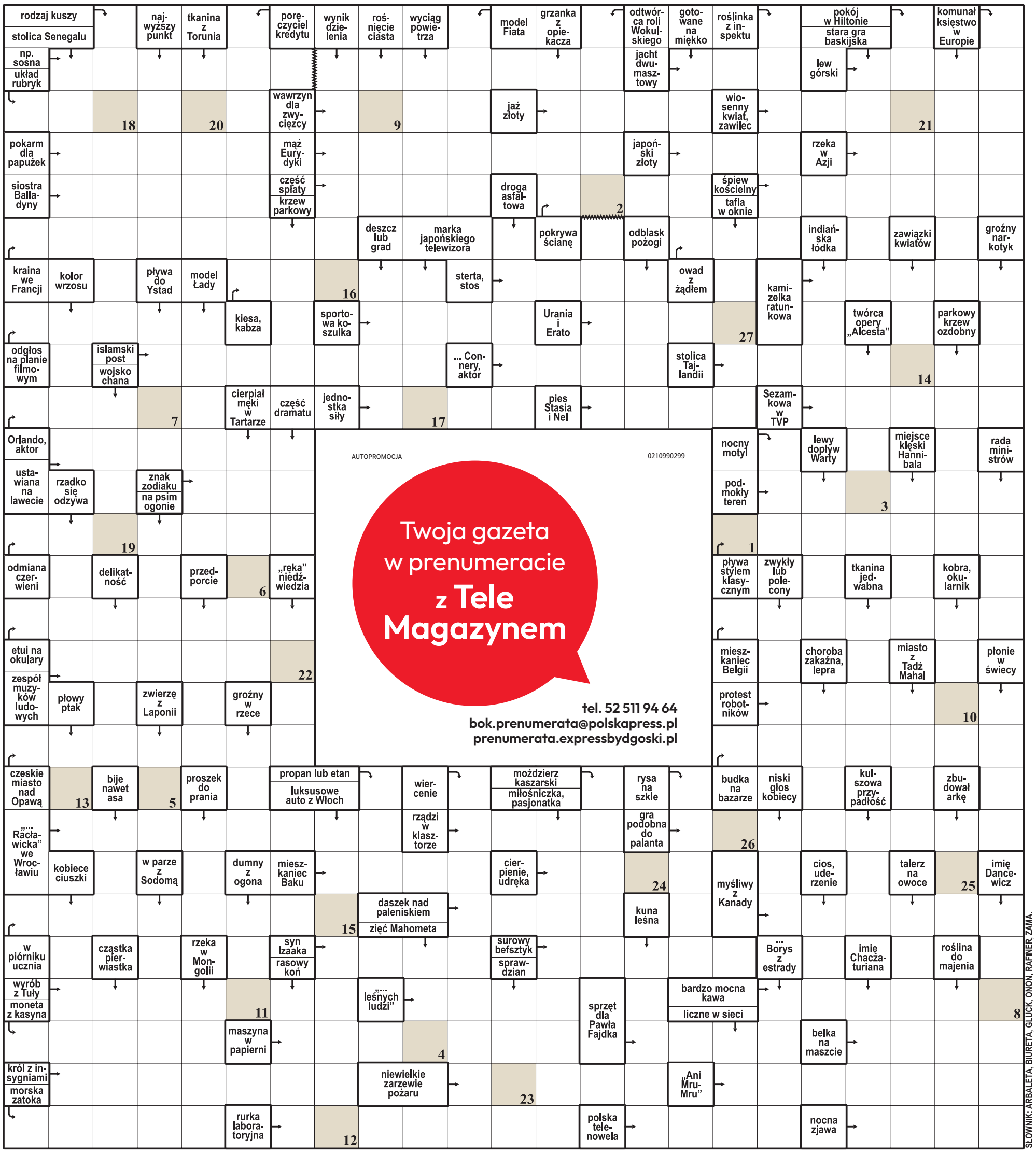

SŁOWNIK: ARBALETA, BIURETA, GLUCK, ONON, RAFINER, ZAMA.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 27 utworzą rozwiązanie: myśl Jana Grossa.

ROZWIĄZANIE: ŻYCIE TO NAJWIĘKSZY BAL MASKOWY.

eprasa.pl 7d64821c2a

PIŁKA NOŻNA

Ligowe przyspieszenie. Trzy mecze w tydzień

Zespoły rywalizujące w Betclic 3. Lidze Grupa 2 oraz w 4. Lidze Kujawsko-Pomorskiej kończą w weekend trudny siedem dni. Na razie najlepiej spisuje się Wda Świecie, która wygrała dwa spotkania i zadomowiła się w czołówce

Dariusz Knopik

W Betclic 3. Lidze dramat przeżyli zawodnicy Elany Toruń, który w ostatniej akcji meczu z Unią Swarzędz stracili gola, który zdecydował o ich porażce. Wcześniej przegrywali, remisowali, wygrywali i znowu remisowali, aż do tej nieszczęsnej akcji z końcówki...

Teoretycznie najłatwiejszego rywala miała Wda, ale widzowie na stadionie w Świeciu przeżyli prawdziwą huśtawkę nastrojów. Po trafieniu Dawida Retlewskiego szybko objęli prowadzenie, ale nie minęło 20 minut i już przegrywali. Potem dążyli do odrobienia strat. Długo się im to nie udawało. Potem w niespełna 60 sekund zdobyli dwie bramki. Wynik meczu w końcówce pięknym strzałem z rzutu wolnego w samo okienko ustalił Retlewski. Radości w ekipie Wdy po ostatnim gwizdku nie było końca...

W teorii najtrudniejsze zadania czekało Chemika, który udał się na boisko wicelidera do Luzina. Bydgoszczanie długo stawiali zacięty opór Wikędowi. Po strzale Patryka Perlińskiego doprowadzili do remisu. Jednak potem dali sobie wbić dwa gole i ostatecznie przegrali.

FOT. DARIUSZ BLOCH

Patryk Perliński (w środku) strzelił dla Chemika jedynego gola podczas meczu w Luzinie

ELANA TORUŃ - UNIA SWARZĘDZ 2:3 (2:1)

Bramki: Maciej Rożnowski (31), Kamil Woroniecki (45+1 karny) - Wojciech Słowiński (26), Jakub Piotrowski (57). Maksymilian Depe (90+4)

Elana: Procek - Jożwicki, A. Kowalski, Czabański - Korpalski, Knera (75. Karbownik), Woroniecki, Skibicki (61. Hshidate) - Gajewski, Rożnowski (75. Orzeł), Stolc

WDA ŚWIECIE - GROM NOWY STAW 4:2 (1:2)

Bramki: Dawid Retlewski (3, 89), Bartosz Kotras (74), Evaristo De Souza (75) - Igor Jankowski (13), Wojciech Zieliński (18)

Wda: Zapała - Nawrocki, Słaby, Kotras, Wojciechowski - Wenerski (79. Droż), Dawid (29. Kolbus), Bratkowski - Iwanicki (56. Jaworski), Retlewski, Souza

WIKĘD LUZINO - CHEMIK BYDGOSZCZ 3:1 (1:0)

Bramki: Sebastian Weremko (22), Jakub Kręt (71), Filip Sosnowski (86) - Patryk Perliński (60)

Chemik: Klon - Kamiński, Karbowski, Ozga, Hulisz - Rysiewski, Jarosz (79. Wierzbicki) - Zaręba (55. Łotoszyński), Zagórski (79. Trojanowski), Kulig (64. Grzelak) - Perliński

Pozostałe wyniki i strzelcy 4. kolejki: Lech II Poznań - Lipno Stęszew 1:0 (Sierafim Bochno 7); **KKS Kalisz - Noteć Czarnków 0:1** (Szymon Piekarski 79); **Flota Świnoujście - Victoria Września 5:0** (Oliwier Szkamelski 6, Dominik Chromiński 55, Szymon Cybulski 69, Roman Dziuba 73, Maciej Rzońca 82); **Kluczevia Stargard - Gedania Gdańsk 2:2** (Rian da Silva 71, 90 - Oskar Śliwowski 30, Artur Stawikowski 39); **Kotwica Kórnik - Bałtyk Koszalin 0:1** (Miłosz Stępnik 79); **Polonia Środa Wielkopolska - Błękitni Stargard 4:1** (Bartosz Bartkowiak 43, 86, Patryk Mikita 45, Jakub Wilczyński 47 - Dominik Lis 90+2).

1. Polonia Środa Wlkp	4	12	12-2
2. Wikęd Luzino	4	10	13-5
3. Flota Świnoujście	4	9	9-2
4. Wda Świecie	4	8	8-5
5. Lech II Poznań	4	7	9-7
6. Kluczevia Stargard	4	7	8-7
7. KKS Kalisz	4	7	4-3
8. Gedania Gdańsk	4	6	10-8
9. Noteć Czarnków	4	6	7-7
10. Unia Swarzędz	4	6	6-8
11. Elana Toruń	4	5	7-7
12. Błękitni Stargard	4	4	7-11
13. Chemik Bydgoszcz	4	4	6-8
14. Bałtyk Koszalin	4	4	3-6
15. Grom Nowy Staw	4	3	7-9
16. Lipno Stęszew	4	1	3-8
17. Kotwica Kórnik	4	1	4-11
18. Victoria Września	4	0	3-14

5. kolejka: Chemik - Flota (sobota, godz. 12), Noteć - Elana (sobota, godz. 16), Unia - Wda (niedziela, godz. 13).

W najciekawszym meczu 3. kolejki 4. Ligi Kujawsko - Pomorskiej Unia Solec Kujawski zwyciężyła Pogoń Mogilno po golu Jakuba Bojasa z rzutu karnego. Obie ekipy nie kryją swoich ambicji sięgających awansu do Betclic 3. Ligi.

3. kolejka 4. ligi kujawsko-pomorskiej: Lech Rypin - Wisła Dobrzyń nad Wisłą 2:1 (Dawid Listkowski 10, 56 - Adrian Nowak 90+2); **Start Pruszcz - Unia Wąbrzeźno 2:2** (Mateusz Zbiranek 13 karny, Jakub Krukowski 80 - Oleksiy Zbun 8 karny, 55); **Cuiavia Inowrocław - Victoria Czernikowo 0:2** Łokietek (Mikołaj Kantorski 38, Tomasz Chabasiński 82); **Pomorzanin Toruń - Kujawiak Kowal 2:1** (Oliwier Sakowski 46, Maksymilian Opaciński 76 - Rafał Jankowski 86); **Unia Solec Kujawski - Pogoń Mogilno 1:0** (Jakub Bojas 37 karny); **Łokietek Brześć Kujawski - Tłuchowia Tłuchowo 0:2**(Konrad Gutowski 16, Chris Soumahoro 43); **Rawys Raciąż - Mustang Ostaszewo 3:3** (Michał Wojnerowicz, Tobiasz Sawa, Kamil Model - Hubert Maciąg 2, Radosław Tuleja); **Skrwa Skrwilno - Sparta Brodnica 1:1** (Michał Laskowski 56 - Brendon Pereira 81); **Noteć Gębice - Orlęta Aleksandrów Kujawski 2:4** (Sebastian Baran 19, Krzysztof Chojnacki 42 - Szymon Brzeziński 25, Bartosz Wiwatowski 52, Miłosz Obrębski 72, Patrick Kasaira 83).

1. Mustang Ostaszewo	3	7	9-4
2. Victoria Czernikowo	3	7	6-2
3. Unia Solec Kujawski	3	6	6-3
Pogoń Mogilno	3	6	6-3
5. Tłuchowia Tłuchowo	3	6	6-4
6. Lech Rypin	3	6	4-4
7. Pomorzanin Toruń	3	6	5-6
8. Skrwa Skrwilno	3	5	5-2
9. Rawys Raciąż	3	4	7-6
10. Unia Wąbrzeźno	3	4	6-3
11. Start Pruszcz	3	4	4-5
12. Sparta Brodnica	3	4	7-5
13. Kujawiak Kowal	3	3	3-4
14. Wisła Dobrzyń n/ Wisłą	3	3	4-7
15. Orlęta Aleksandrów Kuj.	3	3	4-8
16. Noteć Gębice	3	1	3-7
17. Cuiavia Inowrocław	3	1	1-6
18. Łokietek Brześć Kuj.	3	0	2-9

4. kolejka - sobota: Wisła - Start (godz. 12), Unia S. K. - Łokietek (13), Orlęta - Cuiavia (14), Sparta - Noteć (14), Kujawiak - Skrwa (14), Tłuchowia - Lech (15), Pogoń - Victoria (16), Unia W. - Rawys (16), Mustang - Pomorzanin (17). ©℗

SIATKÓWKA

Czas na Euro i walkę o olimpijski paszport

Dariusz Knopik

Polki sobotnim meczem z Węgierkami rozpoczynają udział w mistrzostwach Europy

W Euro wystąpią 24 zespołu. Najpierw zagrają w czterech grupach po sześć zespołów każdy z każdym. Z każdej grupy do fazy pucharowej awansują po cztery zespoły. Faza pucharowa od 1/8 finału aż po walkę o medale. Mistrzynie Europy zapewnią sobie paszporty na Igrzyska Olimpijskie Los Angeles 2028. Tytułu bronią Turczynki.

Polki będą rywalizowały w Stambule. Turcja to główny organizator mistrzostw. W stolicy tego kraju odbędą się decydujące mecze. Dodatkowo mecze grupowe będą rozgrywane w Brnie w Czechach, w Baku w Azerbejdżanie i w Goeteborgu w Szwecji.

Prócz Węgierek polskie siatkarki w grupie kolejno zagrają z Łotwą (24 sierpnia), Słowenią (25 sierpnia), Niemcy (27 sierpnia) i Turcją (28 sierpnia).

Wyjście z grupy jest obowiązkowe dla podopiecznych Stefana Lavariniego. Potem zaczynają się schody. Wiele wskazuje, że w ćwierćfinale Polki ponownie mogą zmierzyć się z Turczynkami. Choć same zawodniczki mówią, że interesuje ich minimum półfinał i ewentualna gra z Włoszkami, które obok Turczynek, są głównymi faworytkami turnieju.

Przypomnijmy, że Polki na dwóch poprzednich Euro zajmowały piąte lokaty. Czy teraz uda się im poprawić te osiągnięcia? Będzie o to bardzo trudno. Wydaje się, że reprezentacja jest słabsza niż w poprzednich sezonach. Wtedy udało się zdobyć brązowe medale w Lidze Narodów i zagrać w ćwierćfinale IO w Paryżu. W tym sezonie wiele zawodniczek odmówiło gry w kadrze. Efektem był brak awansu do turnieju finałowego Ligi Narodów, a to miał być główny sprawdzian przed Euro.

Przed wylotem do Turcji Polki grały w memoriale Agaty Mróz i w nim pokonały Ukrainki i Francuzki po 3:0, ale uległy Włoszkom 0:3.

Mecz Polska - Węgry w sobotę o godz. 18. Transmisja w Polsacie i Polsacie Sport 1. Inne mecze mistrzostw można oglądać na pozostałych kanałach Polsatu Sport.

Kadra - rozgrywające: Alicja Grabka, Katarzyna Wenerska; **atakujące:** Magdalena Stysiak, Julia Szczurowska; **przyjmujące:** Martyna Czyrniańska, Paulina Damaske, Monika Lampkowska, Julita Piasecka; **środkowe:** Magdalena Jurczyk, Maja Koput, Anna Obiała, Sonia Stefanik; **libero:** Justyna Łysiak, Aleksandra Szczygłowska. ©℗

PIŁKA NOŻNA

Mecz beniaminków w Świdniku. Rekord jest do pokonania

Dariusz Knopik

Czas na piatą kolejkę w Betlic 2. Lidzei mecze Zawiszy Bydgoszcz i Olimpii Grudziądz

Bydgoszczan czeka wyjazdowe spotkanie w Świdniku z Avią, a więc także z beniaminkiem. Świdniczanie byli rewelacją początku, bo wygrali trzy mecze i przewodzili stawce, ale przed tygodniem przyszedł zimny prysznic i gładka porażka w delegacji ze Stalą Stalowa Wola aż 0:4. Niebiesko-czarni po wpadce z Rekordem Bielsko-Biała zaczęli budować swoją pozycję zwycięstwami z Resovią i Lechią Zielona Góra. Bydgoszczan mimo tych ostatnich wyników czeka w Świdniku trudne zadanie. Avia u siebie to bardzo groźny zespół o czym przekonała się Olimpia Grudziądz, która tam przegrała aż 1:4. Asem atutowym ekipy ze Świdnika jest Andrij Remeniuk, który już ma cztery gole na koncie. Aby myśleć o zwycięstwie trzeb będzie go powstrzymać. Spotkanie w sobotę o godz. 13. Transmisja w internecie na sport.tvp.pl.

Grudziądzanie dzień później o godz. 16.30 zagrają na wyjeździe z Rekordem. Biało-zieloni od wpadki z Avią grają coraz lepiej. Mierzyli się z trudnymi rywalami na nich boiskach i nie pękali. Dwa remisy i ostatnio zwycięstwo pokazują, że w ekipie Dawida Pędziałka drzemie spory potencjał, a każdy kolejny tydzień pracy będzie wpływał korzystniej na zespół.

Rekord, podobnie jak Avia, ma za sobą bolesną i trochę niespodziewaną porażkę. Ekipa z Bielska-Białej uległa w delegacji Sokołowi Kleczew aż 0:3. To pokazuje, że Rekord jest do pokonania, mimo że u siebie do tej pory wygrywał. Transmisja w internecie na pzpnplus.pl. ©℗

eprasa.pl 7d64821c2a

Sport

Żużel. Znamy finalistów Drużynowych Mistrzostw Polski Juniorów. O medale powalczą Polonia Bydgoszcz - obrońcy tytułu, KS Toruń, Stal Gorzów i Motor Lublin

KOSZYKÓWKA

Astoria w komplecie. Wisienką na torcie czołowy strzelec ligi fińskiej

Joachim Przybył

Jayden Taylor zamyka skład Enea Łaciate Astorii Bydgoszcz. Młody Amerykanin w poprzednim sezonie był topowym strzelcem w lidze fińskiej.

Dyrektor Michał Chyliński i trener Anders Sommer długo szukali podstawowego gracza na pozycji rzucającego obrońcy. Cierpliwość się opłaciła, bo do Bydgoszczy trafił utalentowany koszykarz, który może stać się czołowym strzelcem PLK.

- Na tej pozycji jest mnóstwo na rynku i nie jest łatwo znaleźć takiego, który pasuje do koncepcji budowy drużyny. My szukaliśmy combo-guarda, który będzie w stanie przez kilka minut zagrać też na jedynce. Oferta Taylora pojawiła się niedawno, być może Amerykanin szukał klubu gdzieś wyżej, ale to się nie udało. Ma wielki potencjał w ofensywie, ale potrafi też zagrać agresywnie w defensywie - mówi Michał Chyliński, dyrektor sportowy bydgoskiego klubu.

23-letni Jayden Taylor karierę w NCAA spędził w dwóch cenionych zespołach Butler i North Carolina. Przygodę akademicką kończył ze średnią ponad 10 pkt na mecz.

Swój pierwszy zawodowy sezon Taylor spędził w lidze fińskiej, skąd trafia wielu graczy do PLK i sprawdzają się potem w naszej lidze. Amerykanin miał naprawdę dobre statystyki. Zaczynał w zespole Kataja (późniejszym wicemistrzu Finlandii), w którym notował blisko 22 punkty na mecz, do tego ponad 5 zbiórek i 3 asysty, po sześciu meczach przeniósł się do KTP Basket, gdzie miał bardzo podobne osiągnięcia - 19,8 pkt, ponad 6 zbiórek i 3 asysty.

To wszechstronny obwodowy, silny fizycznie, zwracają uwagę solidne statystyki zbiórek. Ze względu na duży zasięg ramion jest całkiem niezłym obrońcą, w ekipie North Carolina należał do najlepiej przechwytujących graczy. Taylor ma także pewną rękę w rzutach z dystansu, w każdym swoim sezonie w NCAA i w Europie było to w okolicach 40 procent, dobrze czuje się w grze na kontakcie z obrońcami, potrafi wymuszać faule i trafiać wolne.

To już ostatni zabytek przed sezonem. Beniaminek rozgrywki rozpocznie z pięcioma obcokrajowcami w składzie.

- Startowaliśmy z ostatniej pozycji, bo dopiero pod koniec maja było wiadomo, że zagramy w play off i można było na poważnie rozpoczynać rozmowy. To było mnóstwo nowych doświadczeń, mnóstwo poznanych ciekawych ludzi, mnóstwo obejrzanych meczów. Razem z trenerem uważamy, że pracę wykonaliśmy dobrze, ale oczywiście zostaniemy rozliczeni w trakcie sezonu - dodaje Michał Chyliński.

ENEA ŁACIATE ASTORIA BYDGOSZCZ 2026/27

Obrońcy: Jordan Ogundiran, Martyce Kimbrough, Jayden Taylor, Marcin Nowakowski, Wojciech Dzierżak, Maciej Kachelski

Skrzydłowi: Denzel Andersson, Dawid Brembly, Kacper Kłaczek, Karol Kamiński, Bartosz Ptak

Środkowi: Jalen Thomas, Piotr Wińkowski.

FOT. ARCHIWUM

Jayden Taylor to świetny strzelec, ale także dobry obrońca. Może być jednym z liderów bydgoskiej drużyny

ŻUŻEL

GKM o awans do play off, Pres na rozgrzewkę, Polonia po finał

FOT. SŁAWOMIR KOWALSKI

Pres Toruń pod koniec maja pokonał na Motoarenie Stal Gorzów 52:38

Magdalena Zimna

Ostatnie rozgrzewki przed play off w PGE Ekstralidze i pierwsze półfinały w Metalkas 2. Ekstralidze - emocje od piątku do niedzieli.

Ważne rozstrzygnięcia zapadną dziś w Grudziądzu. Bayersystem GKM Grudziądz podejmie Motor Lublin, a zwycięstwo gospodarzy choćby jednym punktem gwarantuje im awans do najlepszej czwórki i sensacyjnie wyrzucenie wicemistrzów Polski z play off.

Dzięki niedawnego potknięciu Motoru we Wrocławiu, GKM wciąż ma wszystko w swoich rękach. W ostatni weekend wreszcie przerwał passę porażek i wygrał w Częstochowie. - Zrobiliśmy pierwszy z dwóch kroków i to ten łatwiejszy - przyznał po meczu trener Robert Kościecha.

Kibice w Grudziądzu na ligowe zwycięstwo czekali blisko dwa miesiące. Szkoleniowiec drużyny liczy, że także na drużynę wynik z Częstochowy wpłynie mobilizująco. - Wygrany mecz jest najlepszym psychologiem. Nabraliśmy wiatru w żagle, dostaliśmy jeszcze jedną szansę i chcemy to wykorzystać. Odcinamy grubą linią przeszłość i chcemy być tym zespołem, którym byliśmy na początku sezonu - mówi Kościecha.

Cieszy wreszcie nieco lepszy mecz Maxa Fricke'a, choć dziś Australijczyk rywali będzie miał znacznie mocniejszych. Po kontuzji wrócił też Bastian Pedersen i to raczej na bardziej doświadczonego Duńczyka postawi Kościecha w meczu z Motorem.

A u rywali daleko od optymizmu. W ostatniej kolejce Motor męczył się u siebie z osłabioną Unią Leszno. Problemy wicemistrzów Polski to słabsza forma juniorów, nierówna jazda Kacpra Woryny i bardzo słaba Martina Vaculika. - Jedziemy do Grudziądza po zwycięstwo. We wtorek mam mecz w lidze szwedzkiej, w czwartek planujemy trening, a w piątek jedziemy powalczyć o zwycięstwo - zapowiedział jednak ten ostatni.

GKM: 9. Jepsen Jensen, 10. Szarszewski, 11. Drabik, 12. Fricke, 13. Tarasenko, 14. Pedersen, 15. Małkiewicz

MOTOR: 1. Woryna, 2. Cierniak, 3. Vaculik, 4. Lindgren, 5. Zmarzlik, 6. Baríbor, 7. Jaworski

Pierwsze miejsce po rundzie zasadniczej dla Torunia wciąż jest możliwe, ale to tylko teoria i to mocno naciągana. Sparta i Pres mają tyle samo punktów (dwumecz wygrali wrocławianie), ale w ostatniej kolejce wygraną Sparty można obstawiać w ciemno. Do Wrocławia przyjeżdża Włókniarz Częstochowa, drużyna bez zwycięstwa w tym sezonie...

Do tego Torunianie mają swoje zadanie do wykonania - muszą wygrać w Gorzowie. To akurat też jest prawdopodobny scenariusz, bo drugą część sezonu Anioły mają naprawdę dobrą.

STAL: 9. Przedpełski, 10. Bednar, 11. Holder z/z, 12. Szymko, 13. Thomsen, 14. Paluch, 15. Kordun.

PRES: 1. Dudek, 2. Lambert, 3. Bloedorn, 4. Michelsen, 5. Sajfutdinow, 6. Kawczyński, 7. Duchiński

14. runda PGE Ekstraligi - piątek: Sparta Wrocław - Włókniarz Częstochowa (18.00), Bayersystem GKM Grudziądz - Motor Lublin (20.30); **niedziela:** Stal Gorzów - Pres Toruń (17.00), Unia Leszno - Falubaz Zielona Góra (19.30). Transmisje w Canal+Sport i Canal+online

Abramczyk Polonia w rundzie zasadniczej Metalkas 2. Ekstraligi była po zasięgiem rywali. To jednak już nie ma znaczenia, bo walka zaczyna się od początku. Jeszcze cztery mecze dzielą bydgoszczan od awansu.

Jak półfinałowego przeciwnika bydgoska drużyna wybrała sobie Orła Łódź. Drużynę, która sprawiła w tym sezonie jedną z większych niespodzianek w Metalkas 2. Ekstralidze. Przed rozpoczęciem rozgrywek ta ekipa skazywana była na walkę o utrzymanie, a przez większą część sezonu trzymała się w czubie tabeli. Fazę zasadniczą Orzeł ostatecznie zakończył na czwartym miejscu.

W tej pierwszej części sezonu w Bydgoszczy Abramczyk Polonia wygrała u siebie aż 62:28. Na wyjeździe zwyciężyła 50:40, ale wynik zweryfikowano na 44:40, odejmując punkty wywalczone tam przez Toma Brennana (przekroczył limit startów w ligach krajowych i stracił pozwolenie na jazdę w Polsce).

W półfinałach poloniści również wystartują w roli faworytów. Rewanż w Bydgoszczy odbędzie się 6 września.

ORZEŁ: 9. Nowak, 10. Nagel, 11. Cook, 12. Szlauderbach, 13. Berntzon, 14. Halkiewicz, 15. Lewandowski

POLONIA: 1. Woźniak, 2. Kostera, 3. Huckenbeck, 4. Łoktajew, 5. Buczkowski, 6. Pawełczak, 7. Andrzejewski

Półfinały play off Metalkas 2. Ekstraligi - niedziela: ROW Rybnik - PSŻ Poznań (13.00), Orzeł Łódź - Abramczyk Polonia Bydgoszcz (15.15). Transmisje w Canal+Sport5 i Canal+online.

eprasa.pl 7d64821c2a